

Joanna Pociask-Karteczka

Na drugi brzeg

(1996)



Widzę was

Na drugi brzeg
(credo)

Stoję nad rzeką wspomnień
szeroką jak Nil
zwierciadło Luksoru
widzę wasze twarze
i ręce
które chwyciłam w ostatniej chwili

a potem
sama podawałam dłoń
aby prowadzić ku mojemu słońcu

stoję nad rzeką wspomnień
i patrzę na drugi brzeg

dopłynę
na drugi brzeg

Dla Pani Profesor*

Dlaczego
dopiero teraz oglądam się nareszcie w tył
otwieram drzwi do pokoju
z jeszcze nie zwiędłymi chryzantemami koloru miodu
tak lubiałaś...

nie ma kurzu na półce z drobiazgami
i słuchawka telefonu jeszcze ciepła od rozmów
pajęczyny zawróciły i uciekły w popłochu
nie lubią powietrza pełnego obecności ż y w e j

siadam przy Twoim biurku
przed mapą – Twoim światem dnia nie tylko powszedniego
dzisiaj tak wiele mówisz – choć bez słów
dlaczego dopiero teraz tak dobrze Cię słyszę

dlaczego tak późno widzimy prawdy ważne
mówione życiem

wybacz że nie znajduję Cię wśród nieobecnych
jesteś t u t a j
gdzie podobno gorzej niż T a m

to nie takie proste odejść i zostawić
opuścić
nie być

* Prof. Irena Dynowska-Balcer (1929-1995)

Do A.D.*

Ściany zimne i popielate
rozkładały kościste ramiona
wołając ciszę niemego powietrza

śnieżny płat ciągle rósł

kosówka
leniwa sarna
pozostała dawno na dole

śnieżny płat ciągle rósł

tylko wodospad
szemrał mądrością stuletniego starca
zamierając powoli w zlodzeniu

śnieżny płat ciągle rósł

lecz myśli nie biegły przed Tobą
na odległość większą niż jeden krok

ten krok...

*dr Antoni Dobija (1947-1991)

Hani*

Nasze głosy
wsiąknęły w mahoń starodawnych mebli
Haniu
a serca
zaplątane w gwar ulic
jak w brzęk natrętnego komara
ocierają się o siebie
by przez chwilę
usłyszeć
rytm orkiestr na karuzeli
z ledwo słyszalnym
zawodzeniem arlekina

*moja siostra Anna Kochan

* * *

gdy na tęsknotę nie ma już sił
i brakuje łez żalu
a słowa
bawią się w niemy teatr cieni
gdy świat zaspanym wzrokiem
odślania poranne przebudzenie
i znikasz
w leniwie odchodzącej nocy

ja
wracam
do obecności twojej

i obecnością twoją
maluję każdy dzień
obecnością twoją oddycham
na wietrze granatowym przed burzą

w obecności twojej
patrzę na słońce
i szukając oddechu nieba
mrużę oczy suche jak pustynia

moje oczy
na skrzydłach twoich myśli
posyłam w podróż za widnokrąg twojej tylko planety
w poszukiwaniu czasu
na wypełnienie legendy życia
przez kilka kolejnych lat

Znów muszę czekać na wiatr (do W.Ch.)*

Jeśli przynosi cię w swych dłoniach wiatr
unosi cię czas w żaglach białego okrętu
i znikasz za falą długą i płaską
i nie oglądasz się za siebie

gdy w maju pojawiaasz się w kroplach deszczu
szemrającym na blaszanym parapecie
zamieniasz się szybko w parę wodną
i obłokiem przezroczystym odpływasz
w hamaku zawieszonym na promieniach słońca

wreszcie na łąkę brzęczącą pszczołami
spacerem nakazanym wchodzisz
są dzieci łapiące motyle
tataraki rozmowne szelestem
zioła pachnące zdrowiem

nagle
zabłąkana ważka znad stawu
jak spóźniony tramwaj wodny
zabrała cię bez biletu

* Prof. Wojciech Chełmicki (1952-2011)

Do B.*

Nie ma cię w moich troskach
zbyt szybko mijają
był mogła zabrać choć jedną łzę
do niekryształowego kielicha
i zanieść ci na pokaz

ale szczęścia zbieram w kolekcję złotego pyłku
i chowam do dzbanków konwalii
z nich układam rozety
i inne wzory naszego spotkania

gdy przychodzisz
konwalie wynoszę do sypialni
i siadamy
by zdążyć opowiedzieć
rzeczy niezaplanowane

*Barbara Kurowska

Do M.K.*

W zapachu białej piwonii
gdzie świeżość to kropla źródlanej wody
a biel to szczyty gór na horyzoncie
gdzie nie ma terkotu dnia a spokój nocy jest biały
i świty witają rosą
a zmierzchy całują ciepłem

w zapachy białej piwonii
zamknąć życie i śmierć

*Ks. Marek Kościelniak

* * *

Gasną moje słońca
poranne i południowe
kiedy za górą zamgloną
słyszę twój płacz

dłonie kurczę w garść aż do bólu
przecież mam miłość

za mało dla mnie
za mało dla ptaków
za mało dla drzew
za mało dla posrebrzanej cukiernicy

nadchodzi ciemność
zamiast nocy przyjaciółki
czekam na dzień
patrzę na horyzont na górę zamgloną
i słucham nieba bez koloru

zmierny tylko mój
przecież tak blisko

Dla Profesora*

Wiatr z Kościeliskie
wieje w twoich słowach
wciska się w zakamarki mojej duszy
i hula beztrosko
jak po kątach drewnianej chaty

szkłem kolorowym malowany
rysunek twojej twarzy
przemawia do ptaków
dziś słońcem
jutro granatowym niebem

nie uciekaj jak halny
przecież dopiero cię odgadłam
jak treść zaklęcia
skalnego rycerza

*Bogusław Grzybek

Do E.K.*

Długich jak łądyga lnu spojrzeń
nie oszczędzaj światu

I osnuj pajęczyną myśli upragnionych
losy motyla
o barwach wczesnej jesieni

I nie bój się powiekami ciepła
zamknąć swój świat
w zaczarowanej szklanej kuli

*Elżbieta Karteczka

Uwolnić motyla

To nie oddalenie
zamknęło mi ścieżki do twojego ciała

nie ma już twoich dłoni
miękkich jak poduszki porannej mgły
przytulonej do brzoźowego lasu

nie ma już twoich oczu
łagodnych jak sierpniowe słońce
zanurzone w powiekach granatowych chmur

Zapach twojej skóry
wniknął na wieki w moje westchnienia

To nie czas
odsunął ode mnie na odległość planet
twojej duszy znalezienia

To
Ja
Zamieniałam cię
w
Pomnik
z Marmuru

I jesteś w niebie
I żeglujesz wśród gwiazd
I słuchasz moich modlitw
żarliwych zapatrzeniem
wyciszeniem
ukojeniem
I zamieniasz moje dni
w lot wielobarwnego motyla
ku słońcu

Szukają po omacku drogi ku ziemi
płatki śniegu rozwiane na wietrze
jak nasze słowa

W konary nagich drzew
skurczonych z zimna i szarych od wiatru
wnika białe powietrze
jak myśli nieśmiałe i czyste

nie bój się

to tylko
sen królowy Śnieżki
zamienionej w pszczołę pachnącą miodem

zawilce

To są zawilce
zapytałeś
i księżyc zakołysał się w uśmiechu

jak ciepły воск
spłynęła gliniana maska
choć została cementowa twarz
i sześciany słów

chęć zaproszyć ciemnością
księżyc tańczący jak okręt
przecież
nic się nie zmieniło

stałeś się tylko poetą

nie jesteś

Nie jesteś
pierwszą radością wiosennego wiatru
budzącego do życia skulone pąki leszczyny

Nie jesteś
kołatającym rytmem dziewczęcego serca
bijącego jak puls u wirującej jaskółki
oczekującej na pierwszą kroplę deszczu

Nie jesteś przytuleniem łagodnym gdy nadchodzi noc
i znudzone gwiazdy schodzą na ziemię
by zatańczyć walca nad głowami kochanków

Nie jesteś
słowem kojącym jak wilgotna mgła
dla stepowej trawy zmęczonej słońcem

Nie jesteś...

Gdy chcę cię odnaleźć
krzyczę głośno do kwiatów
i żądam
by pokochały światło księżyca również

By cię odnaleźć
moim oczom nakazuję nie wiedzieć twego ciała
poślacanej tarczy rycerza
ulepionej z wapiennych skorupiek

By cię odnaleźć
odwracam się od ciebie
i oczy
szeroko otwarte
kieruję ku drzewom
i szemrania liści nasłuchują
jak słów nigdy niewypowiedzianych

Jeśli alabastrowa czara
wypełni się zdarzeniami aż po brzegi
pozwól że to ja odejdę pierwsza
by nikt nie pozostał smutny

* * *

czy wiesz
że niebo naszej przyjaźni
to dzień powszedni

narodziłaś się

szukam ciągle twojego spojrzenia
tak drogie są mi isierki twoich oczu
chwilowo niebieskich
pragnę twojej miłości już teraz
tak wcześnie żądam od ciebie tego co daję tobie
wybacz mi
kocham cię

I can not believe

*I can not believe
You are mine
Mine of my blood
My heart is beating for you so fast
I can not believe you are mine*

*When I see you
I find you are like somebody from another land
Even a land on the other planet
I can not believe you are mine*

*I pray to your picture with your smile
At least
I come back to you and
I do not know
I am not sure
If I find you the same
Mine of my blood
The same eyes t
The same smile
The same drops of crying
Crying of happiness
I dream about being together*

Tryptyk

Ty

odchodzisz
z nadejściem słońca
w mundurze bieli i granatu
z notesem opasłym na dzisiaj i na jutro
jak tłuste ciało hipopotama

Ono

z koszem słów
uzbieranych przez dwa i pół roku
w otoczeniu pytań
przychodzisz do mnie
i wysypujesz je jak klocki na podłogę
i razem układamy domy przyszłości
zapożyczone z historii nie do uwierzenia
które są jeszcze twoim światem

ja

wieczór
to układanie puzzle
składającego się z trzech tylko części

zbieram was oboje
do dłoni gładkiej od ludwika
dłoni z palcami bez długich paznokci

układam n a s ostrożnie przy stole
i czekam na symfonię widelców
przerywaną pauzami spojrzeń

a potem wyciągam ręce
i wspólnym kręgiem wirujemy
wokół naszego ogniska

* * *

Szukam powierzchni swojego ciała
nie objętej przez ciebie
po omacku trafiam w bramę twoich rąk
i jak w klepsydrze
przesypują ciało
do twoich ust
nie zostawiam nic
i nie ma już mnie
jesteś ty

* * *

Wstajesz rano
jak dobrze cię spytać
co zjesz na śniadanie
czy masz czysty ręcznik
jakie plany
w lustrze
przytyłam
trzeba trochę zeszczupić
kończy się pasta do zębów
co dziś trzeba kupić

a potem
wychodzimy
ty w jedną
ja w drugą stronę
i już tęsknię za tobą

* * *

Twoje oczy
jak dwa słończniki
cieplem słońca malują powietrze
między chwilami ciszy i niepokoju

twoich słów szeroko otwarte ramiona
psalmami radości obejmują czas widzenia siebie
i nas

i tylko słońca
i psalmów radości
nie zostaw w ikonach
bo to cudowne
umieć po latach
spotkać się z samym sobą

A jeśli... (I)

a jeśli łyżki radości
gromadzisz w kryształowej misie
i nawlekasz je jak perły na promienie słońca
wpadające przez pajęczynę świtu do źrenic twoich oczu
nie gotowych jeszcze na spotkanie nowego dnia

i jeśli szukasz wiatru
chwytnąjąc rękę powietrze szybkie jak myśl
a w niepogodę mgłę przytulasz do ciała
jak rozkosz świeżego prześcieradła białego jak obojętność

to znaczy
że ktoś odpłynął łodzią konieczności
na odległy brzeg wielkiego jeziora

i Jest Obecny
Towarzyszeniem

i czeka
na pomyślny wiatr
jak na głębokie westchnienie

i jeśli patrzysz w niebo myśląc o ludziach
i patrzysz na ludzi widząc Boga

to znaczy

to znaczy że kochasz

* * *

Chcę być deszczem który obmywa ci twarz
i wygładza zmarszczki niepokoju
chcę być twoim cichym snem
jak wiatr szeleszczący w jesiennych liściach melodią senną
melodią pachnącą indyjskim kadzidłem

chcę być twoim przebudzeniem
jak marcowe słońce
z uporem nawołujące do życia chłodną od śniegu
wczesnowiosenną glebę

chcę być twoim odpoczynkiem
jak leżący przez wieki głaz skalny
wyciszony grawitacją

chcę być niebem
w które patrzysz mrużąc oczy
i tracisz wzrok na chwilę
by widzieć to
c o i s t n i e j e

chcę być...

nim wielka rzeka
zabierze mnie
do ziemi nieupragnionej



Ze świata

Profesorowi Alfredowi Jahnowi

Norwegia. W dolinie

Świat lodu, słońca i skał
malowany wiatrem
spadającym ze strumieniem popielatej wody
i pchającym rączy zaprzęg reniferów
pędzących na żaglach zabłąkanych myśli

Biel otula tu wierzchołki gór
jak ciało sennego kochanka
i oddechem głębokim i chłodnym
głaszcze zbocze doliny

Ptak nie śmie zagwizdać
i rozłożyć skrzydeł
w białoszarym powietrzu nocy

Lecz gdy promienie słońca
utoną w dnie doliny
otwiera się świat stromymi gigantami ścian
lizanych potokami wód połyskujących na skałach niczym plastry srebra
rozlane na tłustym ciele nosorożca

I nikt tu nie odgadnie
gdzie kończy się ziemia
a gdzie niebo bierze swój początek
bo tu
niebo schodzi na ziemię
a ziemia wspina się ku niebu

U Brata Alberta zimą

Śnieżny puch
jak nieprzebrane korce mojąszowej manny
cichym dobrem pokrył Twój świat Bracie Albercie

Za bramą Twoje pustelni
tak wiele ścieżek zaspanych dziś śniegiem

Jak dobrze przyjść z całym życiem
do Ciebie

Jak dobrze móc nie wybierać
i być unoszonym w białym obłoku
jak we mgle ślubnego trenu

Ty myśli smutne zaklinasz w lodowe sople
przylgnięte do gontu kościółka

Myśli cierpiące
wrysowujesz w czarne konary
bezlistnego klonu

A myśli radosne
zamieniasz w podskoki zaprzyjaźnionej wiewiórki

Jak łatwo tu być

Jak dobrze oprzeć się plecami
o drewnianą ścianę Twojego domu
i przez gałęzie zziębniętej jarzębiny
saniami oczu po górach żeglować
Jak dobrze tu być

Ty nie mówisz żegnaj Bracie Albercie
Ty głaszczesz dłonią szorstką
i wciskasz do rąk okruch chleba
zebrany ze stołu wędrowców
szukających dobra

W Lisbetdalen (Spitsbergen)

Kiedy niebo
nad głową spada
aż pod moje stopy
jestem powietrzem
kiedy jestem potokiem który szumi
nie ma niepokoju
kiedy mój dom jest w chmurach
jak w niebie
nie ma miejsca na zło

Złoty grad

Złoty grad spada na ziemię
lekki jak promienie zimowego nieba
ślizga się po mgłach dolinnych
całując zaspane świerki
i karpackie opasłe zbocza
zanurza w błękitnym niebie

Złoty grad
lekki jak promienie zimowego słońca
zahacza o granie Tatr Wysokich diademu
i dzwoneczkami sań baśniowych dźwięczy
i układa melodię
na spotkanie księżycy

* * *

Sosny wyciągają dłonie pulchne i ciepłe
do przytulenia na ziemi nowej
w domu bez dachu i za inną rzeką
ptaki nawołują od świtu do ciszy błagalnej
by skończył się bieg jak we śnie – w miejscu i pod wiatr

ktoś ciągle próbuje zbudować mi dom
nie wie
że nie ma domu
bez ciebie

Arno

Arno
bladoniebieska toni
widoczna ze wzgórza cytadeli
jak aorta zamierająca spokojem
przecięta Starego Miasta koniecznością

zamknij powieki purpurowych dachów
i obejmij czeluścią chłodu
mój sen z otwartymi oczami
przeciskający się wąskimi uliczkami Florencji
w pogoni za nocą
w ucieczce przed słońcem
w którym wszystko jest jasne
i proste

zgromadź wzgórza
zielonkawozłote
u stóp surowej kampanelli
pociętej historią jak mieczem

otul sobą
wspomnienie
i zatop na dnie

Arno
bladoniebieska toni

w Cichawce (1)

okna naszego domu
są dłońmi wyczekującymi na słońce
dach rozgrzana pustynia posyła znaki za horyzont
i rozkazuje chmurom pogłaskać deszczem ziemię

bawię się w nim z pajakami w chowanego
na muszki nie muszę zakładać sideł
a z maleńkim kurzem jesteśmy za pan brat
i uśmiechamy się do siebie z przyzwoleniem

przed zachodem słońca
drzewa z lasu i znad rzeki
przychodzą do mnie na kawę
i rozmawiamy ze sobą szumem i ciszą
ja rozumiem ich szum
one słuchają ciszy
w nocy zabiera je ciemność
i tęsknię za nimi

w Cichawce (2)

w Cichawce
ognisko gaśnie tylko na chwilę
by zaczerpnąć powietrza na kolejny płomień

w Cichawce
noce składają się z krzyku puchaczy
i psich konwersacji
na temat nieba i sztucznych satelit
a dzień
woła noc głosami much
tłustych trzmieli i polnych świerszczy
a nawet komarów w południowej porze

bo w Cichawce
noc i dzień
są w sobie zakochane
i nigdy nie wiadomo
czy słońce wypatruje księżyca
czy księżyc oczekuje na słońce

w Cichawce
strumyk uwielbia ciszę
i szumi tylko lokalnie
jeśli zdenerwowany natknie się na rusz skalny

w Cichawce
drzewa śpiewają w duecie z wiatrem
przekrzykując się nawzajem

w Cichawce
trawa pachnie życiem
i uwielbia flirtować z kroplami pękatej rozy

w Cichawce
powietrze nie może żyć bez nadmiaru tlenu
zmieszane z zapachem suchej koniczyny upaja
jak mocny bimber
pędzony w komórce przy stodole

w Cichawce...

* * *

zaprzatają mi głowę
rzeczy ważne i nieważne
rano
w dzień
wieczorem i nocą
gdy jem
i gdy się modłę
i gdy idę ulicą amerykańskich ludzi szczęśliwych
i drzew amerykańskich szczęśliwych
i samochodów amerykańskich szczęśliwych

na smutek nie ma tu miejsca
choć tak pusto

to nie tak
jak w moim dalekim kraju

kraju ulic tysiącletnich
po których smutek i radość
spacerują
trzymając się za ręce

Chicago 1987

* * *

co będzie
jeśli pamięć nie przyjmie nic nowego
a żyć trzeba będzie
daleko

jest tylko ostry obraz tego co było
teraźniejszość to mgła

nie ma mnie
jeśli nie jestem
tam

Chicago 1987

* * *

aż tutaj trzeba było przyjechać
aby przekonać się że jesteś taka Dobra

Ty Piękna
Ty Złota
Ty w koronie
Ty z Dzieciątkiem

Twój pokój jest wszędzie taki sam
tylko my
tacy inni w innych światach
chcemy zmienić Cię na swój gust

Chicago 1987

* * *

ten ból
nieruchomy
jak drzewo ze stali
tkwi
i nic nie widzę przed sobą
nawet zieleń to huk pociągów i samolotów
nie słyszę Ciebie
nie słyszę siebie

z Alp

rozszały się myśli
jak skrzydła białych aniołów
nad kaskadami alpejskich łąk

myśli otulone obłokami
myśli ślizgające się na strumieniach słońca

rozszały się myśli człowieka
na granicy nieba i turni

a człowiek sam pozostał
w dolinie ciemnej i wąskiej
otoczony drzewami
ze słów dozwolonych

*Though we travel the world over
To find the beautiful
We must carry it with us,
Or we find it not*

R.W. Emerson

* * *

człowiek pewien lubił góry
nieważne czemu
sam zresztą nie wiedział do końca

wracał ciągle do gór
były mu potrzebne

zapraǳał kiedyś
zmierzyć swój podziw

wymyślił nawet jednostki

pisał równania

za każdym razem otrzymywał inną liczbę
choć wracał ciągle
w te same góry

* * *

chcę wrócić do naszych snów z otwartymi oczyma
i nigdy się nie przebudzić
poszukać wiatru i stać twarzą na wprost
i płonąć jesienią w ogniu złota i purpury doliny Popradu

rozzucać śnieżne gwiazdy zimą
na równinach platynowych wyżyn pod Krakowem

i oddychać rosą wtuloną w igły kosówki
jak kochanka w ramionach tęsknoty

chcę wrócić do naszych snów z otwartymi oczyma
i nigdy się nie przebudzić



Czy to Ty...

* * *

wdaje nam się
że Cię poznajemy
na nowo wciąż odkrywamy
drażymy Cię od wewnątrz
jak gruby pień afrykańskiego drzewa
zapominamy
że jesteś w nas

* * *

droga Twa na Golgotę
ciągnie się w nieskończoność
m y w pochodzie za Tobą
m y obojętni widzowie
m y okrutni żołnierze
m y z udawanym cierpieniem
m y z cząstką Twej boskości
ukrytą głęboko w zanadru
wyciąganą tylko na pokaz

* * *

byłam cała w Tobie Panie
gdy klęczałeś w Ogrodzie

ukryłeś mnie pod Twoją stopą
i było mi dobrze
w Twoim Przeznaczeniu

gdy poczułam burzę Twego strachu człowieczego
trochę rozumiałam

i burza śpiewać zaczęła

modlitwa

o poranku witam Cię pieśnią
z tylu strof ile chwil
ile spraw
ile westchnień

z nieba piedestału
znoszę Cię na ziemię ostrożnie i cicho
by ktoś nie zauważył
że znajduję Cię tam
gdzie nikt Ciebie nie widzi

a jeśli (2)

a jeśli nie będę miał sił cieszyć się tym co posiadam
i w kącie mojego namiotu zbudowanego z samotności
chłodnej
uzbieram wiele słów takich jak wdzięczność przyjaźń ...
i wyrzucę je na stos rzeczy niepotrzebnych

i gdy dłonie przylgną jak powój
do betonowego słupa zapatrzania
obcego

spraw Panie
bym
umiał prosić
i abym nigdy nie omijał dróg trudnych i długich
i bym nigdy nie chciał chodzić ścieżkami prostymi

spraw
bym pragnąc śpiewać o Tobie
głośno jak tylko potrafię
nie pragnął sławy śpiewaka
bym nigdy nie zgubił klucza do mojej szkatułki
w której przechowuję jak dukaty złote
dobre słowa i gesty
i jeszcze jedna prośba
ostatnia

o zmroku daj mi schronienie
pod skrzydłem Twojego Anioła
bym dłonie mógł uwolnić z życia
z szeroko otwartymi oczyma

Fiat

było Ci tak dobrze Mario Dziewczyno
na świętej ziemi Twojej modlitwy

nie szukałaś słów wzniosłych i patetycznych
by złowić choć cząstkę nieskończoności

niczego nie pragnęłaś
prócz dnia i nocy
zamkniętych w dłoniach bożej miłości

aż spłynął
anioł woli i pragnienia
by zawinąć Cię
w całun życia przy Bogu

o Bożym Narodzeniu

kiedyś
było o smaku pomarańczy zjadanej raz do roku
i wypieszczonej palcami po skórcie chłodnej i wcale nie zmęczonej
podróżą w torbie chrzestnego ojca
którego płaszcz pachniał dalekim światem Trzech Króli

na Narodzenie

tysiącem gwiazd srebrnołśniących
nakryty świat
uroczyście biały

nie ma chaty
zapiecka
kota

wybrał żłób
by tak trudno było Go pojąć

modlitwa

spraw Panie
byśmy umieli żyć nie dla siebie
lecz dla innych
byśmy umieli radować się z tego co posiadamy
byśmy potrafili właściwie wykorzystać to czym nas obdarzyłeś

nie miej nam za złe
że świat kochamy zbyt mocno
przecież wszystko od Ciebie pochodzi

i spraw jeszcze Panie
byśmy przejrzeni
i widzieli Ciebie poprzez to
co nam dajesz

* * *

nie mękę
ale jeden krok Twojej drogi
umieć rozpamiętywać Panie

nie to żeś Bogiem
ale człowiekiem był
umieć pojąć Panie
pozwól

więcej pragnąć nie potrafię

Weronika

tego dnia upał zamierał w gęstym powietrzu celu i konieczności
ten gęsty upał nie mógł oderwać się
od ziemi karmionej krwią i potem
spadającymi w dół
jak krople dziejów nieba
i człowieka

gdy usłyszeli słowa władcy
mówiącego językiem sługi
gdy patrzyli na koronę
wrastającą w czoło płomieniami prawd
nieodzianych w tysiącletnie pajęczyny czasu

wówczas Ty
chustą
T w o j e g o żalu
i T w o i c h łez
dotknęłaś
Oblicza Prawdy
Wymiaru Kosmosu
Odległości Galaktyk
Tajemnicy Czasu
Granic Poznania
których mądrzy badacze zwojów
nigdy nie ogarną
naczyniem pojęć
roзумu
i wiary także

* * *

Panie
który szedłeś na sąd
będąc już dawno skazany
zmiłuj się

Panie
który milczeniem
powiedziałeś o sobie więcej
niż pieśni nad pieśniami
zmiłuj się

Chryste
który pokorą ujarzmiłeś cierpienie
zmiłuj się

Królu
cierniem koronowany
i berłem trzciniowym przyozdobiony
zmiłuj się

Boże
który szedłeś do nieba
pod ciężarem krzyża
zmiłuj się

Synu
bezgranicznie posłuszny woli Ojca
zmiłuj się

nad grobem

cisza niepokoju zawisła nad wzgórzami
nie ma już żołnierzy kobiet
pozostawili na piasku ślady łęklwych stóp

tylko kamień nasłuchuje
jak wiatr gada ze ścianami
pustego grobu

by mnie obudzić

drażni mnie Twoja Niewiadomość
jak drażni śmierć

nie chcę
by pojedynek z Tobą
stał się upodobaniem

chcę jeszcze żyć
dla swojej śmierci
a dla twego zwycięstwa
i dla Twego wyciągnięcia dłoni
by mnie obudzić
by mnie obudzić
by mnie obudzić

Amen

WIDZE WAS	3
Na drugi brzeg	5
Dla Pani Profesor	6
Do A.D.	7
Hani	8
gdy na tęsknotę	9
Znów muszę czekać na wiatr	11
Do B.	12
gasną moje słońca	13
Do M.K.	14
Dla Profesora	14
Do E.K.	15
Uwolnić motyla	16
szukają po omacku drogi ku ziemi	18
Zawilce	19
Nie jesteś	20
czy wiesz	23
Narodziłaś się	23
I can not believe	24
Tryptyk	25
szukam powierzchni swojego ciała	27
wstajesz rano	28
twoje oczy	29
A jeśli... (I)	30
chcę być deszczem który obmywa ci twarz	33
ZE ŚWIATA	34
Norwegia: w dolinie	35
U Brata Alberta zimą	36

W Lisbetdalen 38
Złoty grad 39
sosny wyciągają dłonie pulchne i ciepłe 39
Arno 40
W Cichawce (1) 41
W Cichawce (2) 42
co będzie 44
zaprzętają mi głowę 45
ten ból 46
Z Alp 46
człowiek pewien 47
chcę wrócić do naszych snów... 48

CZY TO TY 49
wydajemy się 50
droga Twoja na Golgotę 50
byłam cała w Tobie 51
Modlitwa 51
A jeśli (2) 52
aż tutaj 54
Fiat 55
O Bożym Narodzeniu 55
Na narodzenie 56
Modlitwa 56
nie mękę 57
Weronika 58
panie 60
Nad grobem 61
By mnie obudzić 62

Joanna Pociask-Karteczka

Zostańcie

(1999)

przyjaźń

przyjaźń nie wymaga wyłączności jak miłość
w przyjaźni nie obowiązuje dyplomacja
przyjaźń to kawiarnia bez wywieszki „chwilowo nieczynne”
przyjaźń to świat bez pojęć czas i miejsce
dawno – to lat temu pięć albo pięćdziesiąt
a za płotem – oznacza tyle samo co za oceanem
przyjaźń to telefon o trzeciej nad ranem
z powodu lub bez
przyjaźń to wdzięczność za słuszne zbesztanie
przyjaźń to poczucie wspólnoty z wędrówki do celu
choć różnymi drogami
przyjaźń...

każdy z nas

każdy z nas rozpoczął wspinaczkę ku słońcu
po schwytanym przez siebie promieniu
po swojemu jak kto potrafi
byle wyżej byle coraz bliżej słońca

i zdarzyło się tak
że cierpienie które przyszło
było większe niż na wypełnienie dnia i nocy
zabrakło sił
chwyciłam wasze ręce tym razem na przystanku bólu
bólu ze wzgardzonych rąk gładkich od ludwika
bólu ze wzgardzonych łez zostawionych na wielu kontynentach
bólu ze wzgardzonej krwi oddanej z radością nieoczekiwanego cudu
bólu ze wzgardzonych bioder ciągle odchudzanych dla zasady
bólu ze wzgardzonego wspólnego stołu

przystanęliśmy razem
i byliśmy razem
a potem wy wróciliście by iść dalej
ja wróciłam by zacząć od nowa
przemalowałam serce
znalazłam wolne miejsce na smutki
choć bywają dni że jest im za ciasno
wtedy zraszam i odświeżam im to miejsce łzami
a one myślą że to majowy deszcz

zostańcie ze mną
nie dla trosk moich
lecz dla wspólnej radości

dziewczyna o miedzianym blasku

dla Ireny Borowik

ty wiesz
dziewczyno o miedzianym blasku
jak rozmawiać z drzewami
i jak witać wiosnę
o każdej porze roku

dobrze znasz
dziewczyno o miedzianym blasku
tropy do wodopoju poszukiwane przez stada rączych gazeli
zabłąkanych na suchych równinach
u stóp Kilimandżaro

tamtego dnia
dziewczyno o miedzianym blasku
wypiłaś bardzo mocną kawę
porwał cię motyl kolorowy
do nieba
i zamiast powrotu
obudziłaś się na suchym piasku przeszłości
jeszcze pieszczącym nagie stopy

cichego wschodu słońca
na horyzoncie oczekiwań
dziewczyno o miedzianym blasku
nie przeocz

„Mała” dla pana Jerzego

Jerzemu Dynowskiemu

Cóż to za woda H₂O?
Z miną zmieszana pyta każdy.
Odpowiedź zna – wiadomo kto,
ktoś, kto osusza ją i waży.

Osuszać wodę? Toż to kpina!
Nikt nie uwierzy w to prowizorium!
Tak myśli każdy, kto nie był
u pana D. w laboratorium.

Tu coś bulgocze, tam paruje,
Tajemne dźwięki zewsząd słychać.
W kącie coś szumi i wiruje...
Wchodzić? Nie wchodzić? Aż strach oddychać!

„Chwileczkę! Proszę tu nie wchodzić!
Lub wchodzić szybko i drzwi zamykać!
Jeśli chce pomóc przy eksykatorze,
Za dno uchwycić i mocno trzymać!

Czego tu szuka? Widzi, że ważę!
Nie ma w zakładzie roboty własnej?
Ja dzisiaj ważę próbki docenta!
Poza tym, nie ma jeszcze trzynastej!

Lepiej niech wyjdzie i wróci potem.
Przeszkolić mogę z miłą chęcią.
Muszę mieć jednak czas i ochotę.
Po naukę niech przyjdzie ze świeżą pamięcią.

O składach wody i jej cechach
Wiele jest bowiem wiedzy tajników
To, czy ja pić, czy wlać do kubła
Zależy bowiem od jej składników.

Nie każda woda wodzie równa.
W jednej siarczanów jest zbyt dużo,
Inna chlorkami jest przeżarta,
Ważne, by jonów + - było po równo”.

Tych nauk i tym podobnych
Każdy z nas pobrał ile mógł.
I smutno teraz, kiedy już
Te możliwości czas nam zmiótł.

Aby nie stracić chwil minionych,
Jest jeden dobry sposób na to.
Wystarczy bowiem w sercu trzymać
Co kiedyś przeżyć było warto.

wizyta Teresy

przyleciał dziś do mnie ptak
zarysował dziobem po niebie
zatrzepotał skrzydłem nad głową
i od razu
chce się pisać

życzenia dla Antoniego

Antoni – święty od porannego uśmiechu jak wróżba na cały dzień
Antoni – z pochyloną głową nad całowanymi dłońmi pań
Przy Tobie zawsze czujących się kobietami
Antoni – jedyny wśród Antonich marzący o gołąbkach w brukselce
Antoni – zniecierpliwiony nadmierną gadatliwością profesora X lub docenta Y
Antoni – zasapany już na pierwszym piętrze starego arsenału
lecz w czasie korzystnego biometu dopiero na trzecim
Antoni – dostojny w głębokiej zieleni powłóczystej togi (na razie bez soboli)
Antoni – zasobny w środki trwałe i nietrwałe
nigdy nie trwonione poza drugim domem czyli instytutem
Antoni – swojski w geograficznym swetrze dzierganym grubym ścięciem

Antoni NASZ – nie ustaj w pielgrzymowaniu

kołysanka

Tyś ciało z mojego ciała lecz nie moje, Synku
Tyś moje wyczekiwanie na powicie Cię w pieluszki, Synku
Tyś moje troski o kaftanik ciepły,
gdym Cię w stajni przy żłobie tuliła, Synku
Tyś moje śpiewy do ukołysania
i uspokojenia paluszków Twoich drobnych, Synku
Tyś moje poranki i zadbanie o dobry początek dnia, Synku
Tyś moje utęsknienie za powrotem z placu zabaw
i powitaniem radosnym, Synku
Tyś moje zniecierpliwienie w oczekiwaniu
na znajomy szelest Twoich zmęczonych kroków, Synku
Tyś moja troska o wieczór pogodny przy lampce oliwnej, Synku
Tyś moje niepokoje w poszukiwaniu Cię
między pątnikami ciągnącymi do Jeruzalem, Synku
Tyś moje zadziwienie Twoimi naukami w świątyni, Synku
Tyś moje zawstydzenie, gdym się obawiała zeschnięte poletka
w szabas nawadniać, Synku
Tyś moja duma w Kanie wśród zebranych na weselu, Synku
Tyś mój podziw i niedowierzanie
w opowiadaniu Marii i Marty o Łazarzu, Synku
Tyś krew z mojej krwi lecz przelana nie dla mnie tylko, Synku
Tyś moje niespełnienie człowicze dla matki niewiasty, Synku

Tyś
moje
Życie
i Twoje Życia oddawanie
Synku

dedykowane mojej Oleńce

Mamie

Ty mnie wyprawiałaś na wędrówki,
których nie zdążyłem ci wyjaśnić, Mamo...
I nie pytałaś, choć nie rozumiałaś...
i patrzyłaś za mną, nim zniknąłem ci z oczu...
Nie pytałaś kiedy wrócę, a czekałaś na mnie wieczorami
chleb wysychał od oczekiwania i nie starczyło drewna
do podtrzymania ognia
wieczera traciła nadzieję
a Ty zasypiałaś czasami w wychłodzonej chacie
Gdy w końcu przychodziłem - niewiastą Cię nazywałem...

Wiem, że nie taką mi koronę wymarzyłaś, Mamo...
Wiem, że nie takiej świty pragnęłaś dla mnie, Mamo
i nie tron na górze czaszki planowałaś, Mamo
czasu miałem tak mało, Mamo...
ale wiem że i tak mnie kochasz, Mamo...

dedykowane mojej Mamie

czternaście lat

czternaście lat to zbyt wiele
by wspólne słowa znaczyły tyle co znaczą
(czas odbiera słowom znaczenie)
czternaście lat to zbyt wiele
by dłonie związane w uścisku zamknęły niezbędny na dzisiaj świat

czternaście lat to za mało by przeżyć wszystko co piękne
by powiedzieć wszystko co dobre
by przymknąć oczy na światło wspólnie zapalone
by zakończyć rachunki i szukać wyniku końcowego

więc
wyrzucimy daleko za burtę
zdarzenia niepotrzebne na dziś i na jutro
i spacerując
czekajmy na deszcz
który obmyje nasze dusze
z przeszłości

gdy odjeżdżam

gdy odjeżdżam
błogosław mnie swoim żegnającym wzrokiem

umacniaj mnie z odległości myśli samotnym porankiem
pospieszanym służbowymi telefonami
uświęcaj mnie myślami
docierającymi z południową bryzą
wiejącą od morza ku starej Uppsali

gdy powracam
przygarnij mnie
uśmiechem zwyczajnym
jak codzienność

moja rzeka o mętnej wodzie
ma teraz kręte koryto z nader spokojnym nurtem
zarzucam gęstą sieć
i wyławiam muł i glinę
z których lepię figurki i susze na słońcu
a potem maluję
pieszczę w swoich dłoniach dotykam
i ożywiam swoim oddechem i wzrokiem

co jakiś czas odwracam głowę i patrzę w tył
na rzekę przeszłości
kaskadę kryształowej wody

potem przychodzi deszcz
i rozpuszcza moje figurki
zostają tylko ich dusze które ostrożnie przemieszczam
do mojego serca

przychodzi słońce
i znów zarzucam sieć

nic nie tracisz
dając

i choćbyś sam zatrzaskał drzwi do swojego nieba
nie opuścisz przez to swych rajszych ogrodów

lecz jeśli odebrałbyś skrzydła aniołom
tylko dla siebie
byłbyś niczym

pozwól mi wrócić jeszcze raz
to mój wybór wolności
pod Twoim skrzydłem jest mój prawdziwy świat
i tylko tam mogę rozłożyć ramiona tak jak Ty
tam moja radość i mój smutek

moje wiersze

moje wiersze
wydłubane w korze egzotycznego drzewa
nieśmiało wprowadzam do moich szeleszczących spokojem myśli
i zapinam w kaftan bezpieczeństwa

sobotnia noc

sobotnia noc
bezład myśli i pragnień
w magnetycznym polu snów i światła

w sobotnią noc
metalowe promienie ekranu
przenikają zmęczone powietrze
przenikają nasze żółte ciała
oplatają nasz mózg

dlaczego nie patrzę na gwiazdy

jak długo

rozbity bardziej niż na pył
dzban wspomnień i skojarzeń
otula westchnieniami świty i zmierzchy

z promieni słońca zbudowany namiot
ukrywa myśli
które można wyłowić tylko siecią pajęczą

jak z ziaren piasku uczynić ziemię
po której da się twardo stąpać
jak z ułamków chwil
złożyć całe życie

jak myślą bez słowa i myślą bez kształtu
nakreślić szlak podróży w jedną stronę

jak cieniem uciszyć
trzepot skrzydeł spętanego ptaka
i szyją łabędzie odpędzić
rzekę łez ciepłych jak majowy deszcz

jak długo dotyk cienia
wystarczy
by oczy mieć szeroko otwarte

samotność

jesteś samotny
jeśli swoje myśli
posyłasz z kroplami deszczu
nie wiedząc ku jakiej rzece

jesteś samotny
jeśli zamykasz dzień
jak księgę tysiącletnią
nie wiedząc czy nazajutrz
sięgniesz po nią znowu

jesteś samotny
jeśli nie czekasz na świt popielaty od mgły
albo zmierz przyozdobiony purpurowożłotym światłem

jesteś samotny
jeśli wyruszasz w podróż
i opuszczasz powieki
nie oglądając się za siebie

jesteś samotny
jeśli...

czy jesteś

kolejki

w latach osiemdziesiątych
przynajmniej się wiedziało po co się stoi
taka wiedza znaczy bardzo dużo
były tematy do rozmów
było gwarno
były mosty spojrzeń

dziś cisza
każdy stoi i myśli
lepiej wiejska czy rzeszowska
a może jałowcowa lub podwędzana

dziś do ostatniej chwili nie wie się co dobre
dziś mało wiadomo

by zauważyć niebo nad sobą
wpierw musisz znaleźć je w sobie

usłyszała śpiew ptaka nocą
ach!
pewnie się zakochała
nie
niekoniecznie
po prostu odszukała ścieżkę do siebie

unikaj postanowień
dla własnej tylko satysfakcji
własna satysfakcja
jest bardzo żarłoczna
i wprost uwielbia pękać z przejedzenia

szczęście
to czasami cierpienie
z powodu cudzej niewdzięczności
za dar nieujawniony światu
i znany tylko Bogu

żądaj
ale
również
daj

kobieta
uwielbia
samotność
i potrafi być sama
ale nade wszystko kocha kochać
i być kochaną

spacer

przechadzam się między jedna myślą a drugą
potem między trzecią i czwartą
wracam do pierwszej i tak w koło
jestem zmęczona
bola mnie już nogi
to już tyle dni ten spacer
ile dni zostało

to wszystko dlatego

to wszystko dlatego
że dach nad moim sercem nie jest z blachy ani z dachówki
weszłam pod ten dach czterdzieści lat temu
tam było już rusztowanie z pajęczyny i sosnowych igieł
które pokryłam welonami mgieł zebranych w bieszczadzkich dolinach
wzmocniłam białymi piórkami z bocianich główek
i odnalezionym z dzieciństwa wołaniem wilgi

to wszystko dlatego
że dach nad moim sercem nie jest z blachy
ani z dachówki

a jeśli...

a jeśli... (II)

a jeśli łązy radości gromadzisz w kryształowej misie
i nawlekasz je jak perły na promienie słońca
wpadające przez pajęczynę świtu
do źrenic oczu nie gotowych jeszcze na spotkanie nowego dnia

i jeśli szukasz dotyku wiatru
chwytyjąc ręką powietrze szybkie jak myśl

a w niepogodę
mgłę przytulasz do ciała
jak rozkosz świeżego prześcieradła białego jak obojętność

to znaczy
że ktoś odpłynął łodzią konieczności
na odległy brzeg wielkiego jeziora

i jest obecny
towarzyszeniem
i czeka na pomyślny wiatr
jak na głębokie westchnienie

i jeśli patrzysz w niebo
myśląc o ludziach
i patrzysz na ludzi
widząc Boga
to znaczy...

to znaczy że kochasz

Kochanie moje

rano kocham cię słowami prostymi
przy nieobecności twojej
zaplanowanej od początku

w południe
kocham cię sennym słońcem
i brakiem czasu na dokończenie porannej drzemki

wieczorem
kicam cię radością wolnego czasu
i rozmową z własnymi myślami
przed lustrem przeszłości niezapomnianej

a w międzyczasie moje kochanie
rozstaje się ze słowami
które i tak codziennie mają inne znaczenie

i moje kochanie
przenika z mojego ciała
do powietrza wokół mnie

i moje kochanie
ogarnia drzewa za oknem
rozmawiające z drobnym deszczem
opuszczającym bez tęsknoty chmury
w kolorze szwedzkiego błękitu

i moje kochanie
plącze się między słowami
po ścieżkach w kierunkach niedozwolonych
i zasypia zmęczone wędrówką
w szarości skandynawskiej nocy

pomóż mi

budujemy dom nocy smutnych od pośpiechu
pomóż mi znaleźć dom
bez dachu nad głową
i bez ścian czasu

nie potrafisz?
i ja nie potrafię

więc zamykam oczy
i patrzę poza słońce

po kąpieli pod wodospadem dobrych myśli
uniosłeś na rękach jak ważkę moje wilgotne ciało
ubrane w kropelki pocałunków
i przenieś mnie ostrożnie przez progi do świata bez okien
a potem
skrzydła ważki odłożyłeś na stół
i pożegnaliśmy tęsknotę

czekanie na róże

zdążyłam otulić korzenie róż
pieszczotliwymi słowami życia
które zbierałam od Wielkiej Nocy
w koszu uplecionym z tęsknoty
to miały być nasze róże

ale ty wyrzuciłeś róże za płot
widocznie zakwitły nie w porę

moje usta ciepłe i głębokie
moje palce jak powój chwytliwe
kiedy znowu zaczynałam wierzyć
a potem się bać
twoich słów

mieliśmy nasz wspólny dzień
rozpoczęty pukaniem nieba w drewniane okno
upstrzony świergotem zbyt dużej ilości wróbli
nasza miłość wsypała nam cukier od porannej kawy
i wyszła na słońce
by płoszyć cień spod stojących przed domem świerków
a trawa cicho szeptała ostatnie śpiewy przed skoszeniem

nazajutrz chcieliśmy wziąć do rąk nasz wspólny dzień
na próżno
był już zanurzony w głębokiej studnie wspomnień

to się zdarzyło

swój żal podzieliłam na pół
tak jak dzieli się szczęście
lecz tak się złożyło
że nie znalazłam drugiego odbiorcy

i żal zamienił się w powietrze

nim na moje oczy zejdzie zmierzch

nim na moje oczy zejdzie zmierzch
usiądź ze mną w łagodnym słońcu jesieni
na którą już czekałam
gdy wiosny huczały roztopami
a wilgi w zagajniku wołały świtem dzień

moja jesień ma czerwień dostojnej jarzębiny
odgłos deszczu na parapecie i zapach suszonych śliwek
a powietrze jest w żółtych brązowych i bordowych liściach
leniwie spadających na moje zawsze niedorośłe ciało

nim na moje oczy zejdzie zmierzch
posłuchaj ze mną zmęczonego świerszcza jesieni
w zapachu dymu z ziemniaczanych badyli i wędzonego tytoniu
poczekaj ze mną na noc z niebem zrzucającym zabłąkane okruchy kosmosu
podziwiane bez szeptanych już marzeń

nim na moje oczy zejdzie zmierzch
pomóż mi z moich srebrnych włosów
wyplątać babie lato
by je zachować dla poetów

powiedziałeś

powiedziałeś na zawsze
powiedziałeś nad życie

a jeśli zamienisz się w jastrzębia
który ślizga się na promieniach słońca
i przecina kręgami niebo

a jeśli zamienisz się w jastrzębia
a ja nadal pozostanę jak żdźbło
które można zrozumieć
rozmawiając z deszczem

pustynia

kiedy się patrzy
nie widząc
idzie razem trzymając się za ręce
ale osobno
kiedy mylą się rocznice i prezenty
a o zmroku nie schodzi wieczorna rosa słów
i coraz więcej chwil samotności
zaczynasz urządzać zdarzeniami z przeszłości
to tak właśnie rodzi się pustynia

a jeśli... (III)

a jeśli będziesz chciał odejść
postaraj się nie zapomnieć parasola
niczego
byś nie musiał wracać i widzieć mnie
ubranej w noc
trzymającą
bukiet
zasuszonych
pocałunków

była sobie raz królewna

królewna od dawna prosiła
by nie wkładano jej do złotej trumny
na desce ze świerka halnym wiatrem zwałonego położyła mówiła
i zawińcie mnie szczelnie w białe płótno
by dobrze przesłonić mi słońce i niebo z górami
abym wrócić się nie chciała

wolę królewny uszanowano
i złożono jej ciało na świerkowej desce
zaczęto szukać odpowiednich świec
ale żadne nie świeciły dość jasno
więc deskę z całunem wystawiono na słońce

królewna już leży tak jak od dawna prosiła
i myśli o ukochanym
który nosił jej serce przy swoim
na łańcuszku uplecionym z tęsknoty
rytm jego serca
stał się jej rytmem
i zapomniała o swoim oddechu
przyszędł upał
i jej serce stało się ciężarem

kochany oddał jej serce
lecz ona nie wiedziała co z nim zrobić
nie potrafiła żyć jednym sercem
i umarła

królewna przychodzi czasami do swojego zamku
i przygląda się dziecku które jej nie widzi
podaje mu piłkę i bawi się z nim
udaje
że nie zauważa
ukrytego w kącie
pękającego ze śmiechu
błazna

Ku najwyższej górze świata

Ku najwyższej górze świata (I)

dzieli nas tylko kilka a może kilkanaście godzin
to niewielka różnica w porównaniu z pieszą wędrówką od Kotliny Kaszmiru
lub karawaną słońi od dolin Shiwaliku

siedzę na skrzydle magicznego ptaka
pod niebem nigdy jeszcze tak rozległym
ty potrzebujesz jak nikt inny
nieba o kilku horyzontach

zanim spojrzę ku tobie zbyt wcześnie bo dopiero kończy się jedno niebo
widzę w dole inne góry rzucone rusztowo na pustynię unerwioną korytami suchych rzek

nie ma zachwyty na Morzem Arabskim kuszącym jak ciało lazuruwej ryby
a pakistańskie oazy podzielone ryzowymi poletkami jak plastry miodu
kryją życie nieważne dziś dla mnie

wyciągam szyję jak ptak
i spoglądam na indyjską ziemię zaprószoną żółto-ceglastym pyłem

z dolin Gangesu szła już duszna noc
tu powietrze pachnie suchymi wiatrami które posyłasz zimą
nim monsun od morza zakryje subkontynent chmurami życia

jeszcze tylko przelot do Katmandu
to tak jak skok na drugi brzeg ważnej rzeki
szkoda że w drodze do ciebie
mój świat kurczy się jak orzech
ale przecież dziś biegnę ku tobie
najwyższa góra świata

1998

Ku najwyższej górze świata (II)
In the Kathmandu Valley

I found a deep valley
with a countless amount of houses
waiting for the holy rain
with a patience sacrificed by centuries

I found round-shaped clouds
hanging in the sky in the early morning
waiting for the wind
blowing them away
to the other sides of the world

I found green meadow-like fields
filled with tiny yellow flowers
looking toward the sun
with courageous opened eyes

I found a deep valley in my heart
going to the wide-spreading lake of uncertainty
with a lot of questions
waiting for the answers

1998

Ku najwyższej górze świata (III)
Running to Sagarmatha

I was running to you
from the beginning of my life
crushing emerald-shining whiles
and mixing them with a dry sand on my way

I was running to you
until I came here
to the Kathmandu Valley
a land of colorfully dressed people
stretching out a hand with a peaceful touch
a land of people speaking the best
the language of dark eyes full of sunset softness

I succeed to catch here some sparkles
rilling from the wise looking Buddha
and put them to my marvel-incrusted box
which I carry with no burden all my life

I was running to you

until I came here
where time hangs up in a voice of praying bells and mills
and I gave you an unexpected permission
on my running way:
wait for me
Sagarmatha

1998

Ku najwyższej górze świata (IV)

I came there
from a noisy and dusty street
and I had to wait
in a mysterious dark room
smoked with Eastern exotic incense
the floor was littered
with soft bamboo padding

at last a dark man sitting in front of me
had caught a foggy piece of silk
and uncovered a crystal ball
with a screen of my life

I saw a blue sky
in the crystal ball
and I saw YOU
touching the sky
with a palm of snow blowing clouds
tending with an everlasting missing
towards the always lonely Makalu

and it happened at last:
I could see you
with the eyes of a bird
only

1998

in the Andes

the valleys in these mountains
are too deep to see their bottom from the tops
my look is gliding down to a zone of cactuses
with patches of brown and red soil glimpsing here and there
my opened eyes can only hardly sweep this infinity

I feel too small to be a condor tending to its nest at a rocky shelf
I feel too small to be a llama grazing slowly the clumps of vegetation

but you can see the white fields of glaciers in the sky if you love
but you can see the depths of your soul if you are lonely

1996

w góry

pani w dziale socjalnym nazwała to sobotnio-niedzielnym wypoczynkiem w Zakopanem
nieadekwatność tych słów prawie zabolą
i chciałam krzyknąć na całe gardło jak panna roztropna
której zamiast kaganka dano do ręki zapalkę
ale słowa nie przysły
ale słów nie znalazłam
spojrzałam tylko na moją duszę
ona zrozumiała

wyjechaliśmy w sobotni poranek
z domu na dziewiątym piętrze zawieszonym w srebrnoprzezroczystej mgle
jak przyjaciel gości często w naszej dolinie w listopadowy czas
zakopianka kusiła pustką więc Kraków szybko przestał istnieć
od Mogilan południe horyzontu zajaśniało żółtym światłem
to dobry znak
choć tak naprawdę – każdy kolor nieba zwiastuje u was niebo
trzeba jednak przyznać
że jasność przyciągała
a krowy przy szosie spokojne jak posągi z miedzi
zatrzymywały oczy na jeszcze zielonawych pastwiskach późnojesiennych

dolinę raby otwarliśmy jak księgę znaną nam na pamięć
mknąc w dół po południowym stoku
góra za górą zaczęły uciekać szybko lecz bez popłochu
nagle cieniem przysiadł się odcinek za Myślenicami
lasy stały się bliższe a szczyty bardziej odległe
dopiero Babia przypomniała nam o niebie
wyniesiona na mgłach jak na platynowym piedestale
stożkiem oderwanym od ziemi zawisa niepewnie między ziemią a powietrzem
kusząc niebo oślepiającym blaskiem
choć południowa pora była jeszcze daleka

długo zwlekałyście z pierwszymi zarysami
wreszcie zbcza przed Nowym Targiem były łaskawe
ledwo dostrzegalnymi konturami od strony Słowacji
to musiało wystarczyć na cały dzień w Mieście
ale już wami pachniało

już czekałyście
choć nadal nie wiedziałam
czym jesteście

gdy wyruszyliśmy z Miasta na południe równiną
zawsze zbyt rozległą i niecierpliwą
wieczór czał się już za górą
nieśmiało zeszyście w dół pod ciężarem chmur rzuconych przez niebo od Węgier
i przygniecione białymi kłębammi trochę zmałyście
stałyście się bliższe
w Poroninie za mostem w wiecznym remoncie
złote promienie wyruszyły od Orawy ku waszym ciałom
skutym w srebrnych mroźnych pancerzach
i oniemiałyście w ich blasku
i wyrosłyście znowu ku niebu wielkością nieoczekiwaną

dom nieopodal Wielkiej Krokwi czekał obojętnie
otoczony świerkami posiwiałymi od szronu
ciepło nieprzerwane gwizdkiem saganu rozleniwiło
i stapiało z drewnianymi ścianami pokoju
a skrzypiące schody nadzwyczaj nieirytująco gwarzyły a ciszą

w końcu noc zamknęła świat na odległość smreków za oknem
szukałam was na niebie i w ciemnościach
zapomniałam
że od dawna jesteście we mnie
choć nie wiem
czym jesteście

na polanie Stefka Mrugały w Gorcach

mijam szybko Kowaniec
drogą z wąskimi koleinami w śniegu tylko w jedną stronę
Stefek rzadko tu schodził ze swych polan
w lesie białym od oczekiwania
tyle ścieżek ku dolinom i zboczom
ta do Mrugały najbardziej wyslizgana
mijam smreki zmrożono lutym
bacówki uśpione jak niedźwiedzie
do Mrugały jeszcze kawałek lasu
jest coraz jaśniej wyżej i bliżej nieba
bo Stefek na polanach gorczańskich
niebo swe odnalazł

idę szukać śladów człowieka
idę na spotkanie z historią
pisaną wiatrem skałą i dłutem
wreszcie jest
pochyły kawał zbrocza z twarzą zwróconą ku graniom
niebo zakończone tuż nad ziemią
otwarło się na krzyk komór gazowych – gwoździ i włóczni XX wieku

tu Mrugała opowiedział historię człowieka w pasiaku
człowieka w drutach koleczastych
człowieka z numerem 16 670

szukając śladów człowiek
znalazłam ślady Boga

i wiem też
szukając tu śladów Boga
znalazłabym człowieka

litania do gór

w was ukrycie i schowek przed światem
w was uporządkowanie szlaków ze znakami i bez
w was ukojenie i zasianie spokoju
w was stąpanie ociążałe poniżej piętra kosówki
w was burza z piorunami i ciężka droga ku szczytom
w was siła na zejście ku ludziom
w was doliny jak drzwi szeroko otwarte ku światu
w was pragnienie powrotu
w was myśli jak potoki wartkie
w was trwania

góry
moja modlitwo
która nie potrzebujesz słów

1996

ołtarz w Czernej

ołtarz w Czernej
jest pod sklepieniem nieba
przeciętego zakolami jastrzębich wędrówek

na ołtarzu w Czernej
jest niebo i ziemia
góry i doliny

w liturgii słowa
przemawia brzęczenie osy zabłąkanej nad wapienną półką
i szelest jaszczurki umykającej przed cieniem chwiejącej się leszczyny

do ołtarza w Czernej nie się bukiet polnych kwiatów
i tace z uśmiechem i troskami

zamiast organów słyhać piano szmeru źródlanej wody od św. Eliasza
i akordy wiatru w konarach buczyn lip i jarzębin

z ołtarza w Czernej
zabiera się twardość skały

1996

SPIS TREŚCI

ZOSTAŃCIE

Przyjaźń	6
Każdy z nas	8
Dziewczyna o miedzianym blasku	9
„Mała” dla pana Jerzego	11
<i>nie potrzeba mi...</i>	13
Wizyta Teresy	13
Życzenie dla Antoniego	14
Kołysanka	15
Mamie	17
Szymon z Cyreny	18
Michałowi	19
Czternaście lat	20
Gdy odjeżdżam, gdy powracam	21
<i>moja rzeka...</i>	22
<i>nic nie tracisz</i>	23
<i>pozwól mi wrócić...</i>	23
Moje wiersze	34
Sobotnia noc przed TV	24
Jak długo	25
Samotność	26
<i>w latach osiemdziesiątych</i>	27
<i>o! usłyszała śpiew...</i>	28
<i>unikaj postanowień</i>	28
<i>szczęście</i>	29
<i>żądaj</i>	29
<i>kobieta</i>	30
Spacer	30
To wszystko dlatego	31
<i>by zauważyć</i>	31

A JEŚLI

A jeśli... (II)	33
Moje kochanie	35
Pomóż mi	37
<i>po kąpieli...</i>	37
Czekanie na różę	38
<i>moje usta</i>	38
<i>mieliśmy nasz...</i>	39
To się zdarzyło...	39
Okruszy z pańskiego stołu	40
Nim na moje oczy...	41
Powiedziałeś	42
Pustynia	42
A jeśli... (III)	43
Była sobie raz królowna...	44
A jeśli... (I)	46

KU NAJWYŻSZEJ GÓRZE ŚWIATA

I. Ku najwyższej górze świata	49
II. In the Kathmandu valley	51
III. Runing to Sagarmatha	52
IV. It happened	53
In the Andes	54
W góry	55
Na polanie Stefka Mrugały w Gorcach	58
Litania do gór	60
Ołtarz w Czernej	61

Ocalenia

(2005)



Pejzaže

w Dalmacji

rodzinnie Ursići

świt zapanował popielatym powietrzem
nad gładką skórą Adriatyku
podniebne góry pogrążone jeszcze w płaszczu nocy

na granatowej toni
wiatr zaczyna malować zmarszczkami srebrne smugi
zaś na horyzoncie rozplływają się zamglone wyspy

przełęczą wślizgnął się snop mlecznego światła
i pobliska wyspa odpowiedziała złotem

w Dalmacji budzi się słońce

Brela, lipiec 2002

u Dalmacji

za obitelj Ursići

pepelasti zrak zore zavladao
glatkom kožom Jadrana

nebeske planine još tonu u plaštu noći
na modrim dubinama
vjetar počinje oslikavati borama srebrne zrake
dok na horyzontu nestaju zamagljeni otoci

kroz prijevoj se ušuljao snop mliječne svjetlosti
a najbliži mu je otok odgovorio zlatom

u Dalmaciji se budi sunce

[tłum. Mariola Dunaj]

gdy na Grodzkiej zbyt ciasno

gdy na Grodzkiej zbyt ciasno i gwaro
spokój zaczyna błądzić w poszukiwaniu wolnego miejsca
robi się duszno

noce prześwietlane ekranem
gaworzą z filiżankami kawy
księżyc nadaremno puka do okien
i odchodzi by zatańczyć dla gwiazd

gdy na Grodzkiej zbyt ciasno i gwaro
zabierzmy siebie w plecaki
i wyskoczmy na chwilę w Bieszczady

pomówmy patrząc na siebie
popatrzmy nic nie mówiąc

bądźmy ze sobą

stary Kleparz

Stary Kleparz brzęczy już jak ul
koło pijarów
przemykają zroszone psy
z niewidzialnymi właścicielami

ściana przy św. Marku
szykuje miejsce dla żebraka

w Rynku
śmieciarka z obsługą
jest chwilowo bohaterką największego salonu Europy

przy *Vis á Vis*
Skrzynecki pozdrawia bez względu na pogodę
a Wiślna oddycha jeszcze
chłodem od Plant

poranna toaleta miasta

samotny

ojcu Krzysztofowi Skibniewskiemu

samotny
na bezludnej wyspie konfesjonału
w świetle witraża z Bogiem Ojcem
czeka nadaremno
gotowy do szeptu oczyszczenia z grzechów głównych
i tych na wszelki wypadek

w tym kraju sumienie się czyści tylko od święta

spowiednik u franciszkanów

Adwent 2001

o świcie

o świcie miasto otwiera żyły ulic
metalowe anioły
wsuwają się do labiryntu betonowego ciała
mózgi ręce i nogi oplecione unerwieniem czasu
zanurzają się w gęstym powietrzu
pełnym zagmatwanych częstotliwości

początek szalonego tańca

2002-2003

Terra Australis

Profesorowi Kazimierzowi Trafasowi

samotna siostra Gondwany
zanurzona w eukaliptusowym powietrzu
rozłana jak naleśnik
na mapie w odwzorowaniu Mercatora

żegluje po niebieskim globie
czekając na kolejny wybryk tektoniki

Perth – Kraków, 2000

i cóż...

na dalmatyńskiej plaży
słońce zlizuje sól przeszłości na głodnym ciele

serce zaszumiało Adriatykiem
cykady odpowiedziały echem
i cóż...
jeśli nie ma miłości

Brela 2001

w drodze do Dubrownika

profesor Alicji Zemanek

w drodze do Dubrownika
są wyspy rozlane oczekiwaniem
są zbocza spieczone i wzniosłe
na których cyprysy
czuwają przy opuszczonych kościołach
w cyprysach mieszkają anioły
i budzą ze snu zasuszone winorośla
anioły stoją na straży do nieba

na końcu drogi
w bramie od Pila ze *Svetim Vlahom*
zostawia się ciało
a dusza jak mgła
wślizguje się między białe mury
by odpocząć w cieniu historii

potem pełza wąskimi schodami
wznosząc się ku murom miejskim
i wędrując do nieba
pozostawiając zadziwione cyprysy

Brela, lipiec 2001

to the Cape of Good Hope

profesorowi Denisowi Hugh

There are some people
with eyes like round-shaped pearly shells
... wind blowing to the bay with deep indigo of the Benguela Current

people
with ears waiting for hardly audible rustle of words
... sand looking for a rest among green bushes

people
with hands like two cosmic rays
... confident antelopes jumping in the sun

people
with feet treading invisible patches in the sky
... meandering roads snuggled to brown rocky walla

people
with thoughts forwarding good hope into the space
... smooth orchestra of long waves spreading on the white Atlantic beaches

there are some people...
these people will not die

Kapsztad – Kraków, 2002

Nippon

profesorowi Zbigniewowi Kundzewiczowi

shivering islands
by the side of the everlasting land
teach rain drops to disappear
on the hot body of the rock

islands suffering from the underground hell
teach the ocean crust to move smoothly under silent continent
and to melt inside of the planet

islands dressed in green forests
though breathing suddenly with embers and flames

these islands
teach us to say *sayonara*

Sapporo – Kraków, 2003

pożegnanie jesieni

w zakopiańskiej kotlinie zapach gór
można je prawie dotknąć
krótki dzień jak zazdrosny kochanek
wypędza przed nocą wędrowców

mrok pozwala jeszcze dojrzeć zieleń
lecz góry już śpią otulone granatowym powietrzem
droga wspina się
mknie na północ wśród wzgórz
Babia uparcie oszałamia na przednocnej purpurze nieba

a nad Pilskiem już bujają jak obłoki
myśli o powrocie...



Spotkania

Markowi Angielowi

węszysz
peryskopem obiektywu
jak polna mysz
która wysuwa łebek
i zamyka w dwóch wymiarach fragment Kosmosu

zadźwięczał twój pejzaż jak dzwon

sierpień – wrzesień 2005

tak, nie

Joli Ożóg

czas którego wszystkim brakuje
ty przechowujesz na dnie słomkowej torebki
i wyciągasz na światło dzienne kiedy potrzeba

na uśmiechniętym polu łagodnego dnia
nie wybierasz chwil na pokaz

gdy życie zadaje trudne pytania
ty dajesz odpowiedź swoim życiem

by nie zabłądzić
wystarczy chwycić twoją rękę
i *tak* staje się *tak*
a *nie* oznacza *nie*

ze słów codziennych robisz konstrukcję melodii
łatwą do zapamiętania
twój śmiech rozmnażany cudownie jak chleb
płoszy czas gniewy zasiewanego niecierpliwością

cieni nie obejmuj rozumem i duszą
cienie powstają z przeszkody na drodze do światła
zostań

w białym ogrodzie

wniósł ją na rękach do białego ogrodu
pachniało minioną tęsknotą
wplótł swoje ręce w jej dłonie
i zamienili się w białe drzewo
zawirował wiatr i pozapłatał białe konary
zaświeciło słońce
rozsrebrzając drzewo szeptające białymi liśćmi
drzewo zaświeciło jak gwiazda
zapanowała jasność
spomiędzy liści wyfrunęły jak anioły białe ptaki

zbudzili się o świcie
to nie był sen

nieobecne

Agusi Wilk

sfrunął z dłoni Boga płatek herbacianej róży
i zamienił się w twoją twarz

świat budujesz wewnątrz tulipana
który ciało otula gdy zimno
kiedy słońce – otwiera dusze i śpiewa

oczy mówią za ciebie najgłębsze historie
słów nie gromadzisz w kuferkach przeszłości

w słowniku życia wykreśl *żegnaj*
co było
jest tylko nieobecne

w Dwerniczku

*dla przyjaciela ELF*ów*

indukcja tej fali
przypomina szum Sanu
po świętojańskich deszczach

długość tej fali jest niestety ograniczona
odległością chaty od domu Rusinów
gdzie ze stałą częstotliwością serwuje się kawę herbatę obiad
w zaciszu izby z portretem przodkini rodu
lub w objęciach dolnego zaułku z ziołowym kredensem na straży

wysokość tej fali
nawiązuje do wzniesień Otrytu
wiernie strzegącego tajemnic dolin
oddychających ciężko białymi mgłami

natężenie fali powoduje nieustający dopływ energii
z zieleni niskich połonin wędrujących z ufnością po zboczach
gdy dzień udowadnia nieco podwyższonym potencjałem
swoją tęsknotę za nocą

łatwo określić wektor tej fali gdy widzi się granatowe niebo
z twarzą śmiałego Marsa
beztrosko wędrującego po niebie z wieczorną fajką w ustach

okres tej fali jest niebywale krótszy od okresu wahadła w kościele św. Piotra i Pawła
gdzie nadaremnie oczekującemu następcy Foucault
wahadło niestety ciągle potwierdza to samo

przenikalność tej fali zależy od substancji z której zbudowany jest obiekt
i badania jeszcze nie wykazały całkowitej absorpcji energii
w strzałach leśnych aniołów błakających się od wieków
wśród bieszczadzskich lasów
na tej fali
można popłynąć do nieba

Dwerniczek – Kraków, czerwiec 2001

*ELF – fale o skrajnie niskiej częstotliwości, badane m.in. na stacji pomiarowej w Bieszczadach

spotkanie

Kazi Urban

byłam w górach
wtedy pierwszy raz zdradziłam je
widząc na wędrownych szlakach do nieba
zaledwie czubki swoich butów

mimo tłoku
nie było nikogo oprócz mnie

nim na ciebie spojrzałam
twoje słowo już na mnie czekało
i świat się poszerzył o los człowieka

rozmowa

ona to ma szczęście
udane dzieci
pieniędzy jak lodu
willa z ogrodem dwa garaże
miała jechać na Karaiby...
dawno nie dzwoniła

nie wiesz ?...
jest już po piątej chemii...

jak ptak

jest jak ptak który przysiada na ramieniu
łaskocząc główką moją szyję
i śpiewając hymn o słońcu

potem odfruwa do zagajnika
na dni długie jak rzeka
nocą zamieszkuje wśród drzew
nie ma własnego gniazda
i znów przylatuje
na chwilę wyłudzoną od życia
wtula się szybko w głodne usta
aby nie mówić o odejściu

niedzielną homilia

na początku
wzmianka o znanym serialu
potem opowiadanie o losie samotnej staruszki
oburzenie z powodu ustawy podpisanej przez prezydenta

na bocznej ławce
kobieta głaszcze niemowlę – nareszcie Chrystus

kamyk

znalazłam kolorowy kamyk
zlepek różnych minerałów
zbitych w błyszczącą bryłę
kamyk był zimny
ale szybko ogrzałam go swoim ciepłem
był jak przyjaciel
nie mogłam się bez niego obyć

pewnego razu spotkałam anioła
 zbierał grzechy i wynosił na śmietnik
 był zgarbiony pod ciężarem zawieszonym na plecach
 zajrzałam do środka
 tam były kamienie
 takie jak mój

miłosierdzie

gruntowne sprzątanie domu
duże zakupy wielkie pranie
kapusta z grzybami mielenie maku
radość na pierwszą gwiazdę
potem jasna bluzka i korale
pozdrowienie karpia na patelni
przełamanie ze łzami białego opłatka
i oczekiwanie
aż się narodzisz

nadaremno

w sercu chaos
za tłoczno

całe szczęście
że nie trzeba czekać na Ciebie cały rok

wigilia

spieszno nam do Ciebie Jezusku
niesiemy Ci makowiec z rodzynkami zwinięty w rulonik
i pierniki z orzechami w gwiazdki oczka i księżycy
kawał karpia z srebrnej galarecie
abyś najadł się do syta na dziś i na zawsze
niesiemy jeszcze pozłacane bombki aby Ci iskrzyły ciepłem
popatrz ile darów w wigilijny wieczór
czemu zatem pytasz
co przynosimy z wędrówki przez cały rok

2001

modlitwa

Panie nie opuszczaj mnie i bliskich mojemu sercu
przyjdź do tych którzy wzywają Twojego Imienia
wskazuj drogę jak żyć godnie i w pokoju
pomóż odradzać się na nowo
by wielbić Cię czystym sercem
zajrzyj do tych którzy pilnie Ciebie potrzebują
nie wiedząc o tym
i otwórz przed nimi niebo twojej obecności
amen

30 grudnia 1998

jak wdowa

Ks. Bogusławowi Mielcowi

*Przyszła też jedna wdowa
I wrzuciła dwa pieniążki,
Czyli jeden grosz.
Mk 12, 42*

znowu zbudził cię ten okropny sąsiad
i tłukł kotlety o siódmej rano
brakuje już cierpliwości
czas na awanturę
- to nie pech
dzięki niemu możesz poznać
jak jeszcze odnaleźć przebaczenie

znowu pożyczki
jak co miesiąc brakuje im do pierwszego
powinni w końcu znaleźć lepszą pracę
nie możesz pozbyć się wszystkiego
przecież musisz mieć jakieś zabezpieczenie
- to nie pech
dzięki nim możesz nauczyć się dzielić

trudno o czas na rozmowę
w kalendarzu tkwi minuta po minucie
czas to pieniądz
dziś nie ma czasu na pogawędki
zatem kiedy wreszcie skończy głądzić
- to nie pech
może nauczysz się słuchać

nie bój się
zaryzykuj
jak ona

*Zaprawdę powiadam wam:
ta uboga wdowa wrzuciła
najwięcej ze wszystkich,
którzy kładli do skarbony.
Wszyscy bowiem wrzucali
Z tego, co im zbywało...*

Mk 12, 43-44

Kraków, listopad 2000

wolność

nie zauważasz gołębia
trącającego skrzydłem o szyby twojego okna
nie widzisz gór
dłoni modlitwy zniesionych do Niego
nie czujesz zapachu wielkich płatków śniegu
konających w pocałunku na twojej twarzy
zamykasz Mu usta
brakiem zaufania

jest tylko wolność – dar
który sprawia tyle kłopotu

nie mów

pewnej nocy
narodził się człowiek
dość przystojny
o przenikliwym wzroku
i smukłych dłoniach
jadł
pił
spiał
wędrował
ucztował
pościł
śmiał się
płakał
błogosławił dobro
przeklinał zło

... prawie tak jak ty

więc nie mów
że trudno Go naśladować

Boże Narodzenie 2001

Jan Paweł II w Katedrze na Wawelu

ks. Infułatowi Januszowi Bielańskiemu

wrośnięty w ciszę korzeniami wiary
trzyma w dłoniach sumienie Ziemi
uwięzione w pozłacanych kopułach
wspartych na ramionach biblijnych aniołów

on wie
Bóg lubi przychodzić w ciszy
zaś milczenie jest owocnym oczekiwaniem Boga

on buduje mury nowej świątyni
wznoszonej duchem modlitwy

modlitwa na koniec 2002

ks. Janowi Twardowskiemu

Boże uchron planetę Ziemię
opieczoną smugami pasatów
i zanurzoną w gęstym cieple atmosfery

uchroń łańcuchy górskie
kurczowo trzymające się jej powierzchni

uchroń smukłe wulkany
oddechy jej stopionego wnętrza
uwięzione w sztywnej skorupie

uchroń strome wybrzeża
złote plaże
i śpiewające muszle pchane falami oceanów

uchroń kopce termitów
ciszy
kępki poziomek
i kropelki porannej rosy

Boże
uchroń planetę Ziemię
Przed dwunożnym ssakiem
zwanym człowiekiem

Stacja XIV: złożenie ciała Chrystusa do grobu

mieszkanie
tylko a chwilę

wyspa
na której przysiadają dusze
jak przelotne ptaki

wigilia 2003

skoro w tę noc
wszystkie gwiazdy
drepczą z niepokojem czekając na tą jedną
a Ziemia przyspiesza wirem święty zmrok

otwórz oczy spójrz zobacz
nastaw uszu posłuchaj usłysz

a gadanie zostaw dziś zwierzętom



Czas

rejs

udaj się w rej
na wymyślone morze lub ocean
jeden dzień będzie oznaczał rok
może uda ci się opłynąć Ziemię
zahaczyć o egzotyczne lądy
na których swój ślad zaznaczysz myślami

nad różnymi wodami będą różne nieba
do których będziesz wznosić swoje oczy
i wypatrywać słońca

po roku wrócisz ze swojego rejsu
nazajutrz
wróci przeszłość

czas

profesorowi Krzysztofowi Ożogowi

czas który minął już nie powróci
zamienia teraźniejszość w przeszłość
w czasie rodzi się człowiek
i w czasie umiera
w czasie kona zło
zło które było umiera lub żyje w nienawiści
a wtedy czas to oczekiwanie na ratunek
dobro które było żyje wiecznie
karmiąc dobrem nowy czas
w czasie konają i rodzą się marzenia
czas jest
i czas nakazuje być
czas czeka na nasze westchnienie przy nowych początkach
czas się odradza przez nasze odrodzenie
czas wie kiedy się zacząć i kiedy skończyć
czas wie jak długo czekać

czas to taktowny przyjaciel
który zawsze zjawia się na czas
i znika w czasie dla nas najlepszym

jutro

jutro zacznie się może dziś
może za tydzień lub za rok

jutro można połączyć z fizjologią
i przyspieszyć pigułkami
ale przede wszystkim
trzeba przejść na *ty* z czasem
który od wieków zabiera
i daje

czas odejścia

słowa zbyt leniwe aby zabrzmieć
powieki podpierane dniem powszednim jak zapalkami
usta zbyt prozaiczne by zaśpiewały

choć serce rutynowo otwarte dla wszystkich
trzeba odejść aby nie udawać bycia

trudno wyjść
nie zatrzasnąjąc za sobą drzwi

wszechstronny

najbardziej wszechstronnym
co znam
jest czas

potrafi zarówno być wrogiem
jak i sprzymierzeńcem

tęsknota

dzisiaj ta rzeka jest nie do przejścia
a góry nie do przebycia
dzisiaj słońce świeci tylko dla siebie

chwalmy Pana bo jest wysoki jesion
z którym można porozmawiać gdy jesteś daleko
chwalmy Pana bo jest dzień dzisiejszy
choć smutny
i płacze za jutrem przyjacielem

klub odstawionych zabawek

nasz klub jest czynny całą dobę i otwarty do końca życia
gotowy do przyjęcia lalek pluszaków miśków i wszelkich stworów
niezbędnych komuś w pewnym momencie

przyjmujemy każdego
kto kiedyś był przytulany całowany a także tłamszony

z boku leżą te kupowane w zachwycie i zbyt szybko
nie zdążyły się nawet zadomowić nim znalazły się na półce
dalej leżą zmechanizowane niektóre praktyczno-użyteczne
wymagające co pewien czas nowych baterii
szybko dokładane bo systematyczność męczy
sa też weteranki
najstarsze najdłużej i najtrwalej oswajane
obskubane odrapane bez nóg i poszarpane

w naszym klubie pije się czerwone wino
za co dziś wznosimy toast
za półkę na której leżymy
z niej tak dokładnie wszystko widać

powrót do raju

zatrzasnęły się drzwi domu
którego okna wychodzą na ogród umarłych drzew
zawiało piaskiem oczekiwań
zarosły ścieżki wiodące w jednym kierunku

przemaszerowały jak żołnierze
kolumny słów dozwolonych tylko chorym

zostały drogi w obie strony
nadszedł czas zdarzeń niekoniecznych
i czas barwnego motyla

hymn do czasu

odziani w nowe szaty
z uniesionymi rękami do góry
twarzą do słońca
zaczniemy śpiewać hymn o czasie
który przemija
i nigdy nie wraca
lecz ma zawsze w zanadrzu przeszłość
którą można się karmić
udając życie

wiosenne wspomnienie kosmicznej podróży

przemknął samotny Merkury
udając że nie widzi zalotnego spojrzenia Wenus
Mars mrugnął znacząco poprawiając nakrycie głowy tak delikatnie
by nie trącić Ziemi pędzącej ku peryhelium

Antarktyda spokojnie zanurza się w cieniu gotowa na przyjęcie nocy
zaś Arktyka wzdycha gwałtownie
oszołomiona trzaskaniem pękających lodów ze łzami żegna Oriona
który niechcący machnął mieczem i obudził Mesartim
atmosfera nasycy się ciepłem i parą
a Ziemia w pogotowiu
jak zawsze... jak co roku... jak od tysięcy lat...
czas wydeptuje szlaki galaktyk
okrąg czy spirala
a może ani okrąg ani spirala
jak zawsze... jak co roku...

i cóż że mucha zabręczczała na balkonie
że gleba wolna od mrozu zapachniała
zapach Ziemi na wiosnę jest dla uczuć jak żyzny namuł

i cóż że mrówka macha nóżkami jak witki zalotnej wierzby
a mot na parapecie rozciąga grzbiet jak drożdżowe ciasto
że słyhać pąki eksplodujące zielenią

i cóż...
jeśli nie ma wiosny w tobie

ból

bądź pochwalony bólu
który wchodzisz w moje ciało jak gość konieczny
wprowadzasz mnie w święte oczekiwanie
na ponowne narodzenie
wielbiąc życie na które czekam
i sławiąc czas który nadejdzie

tyle na dzisiaj

ptaki
nie zdobią już nieba – fruną do celu

kolorowe liście jesieni
już nie tańczą – spadają zgodnie z grawitacją

pora zdjąć ze zgarbionych pleców
skrzydła z obwisłymi piórami
tyle na dzisiaj

ten sam
pozostał tylko czas
doskonały nauczyciel posłuszeństwa

zmęczone upałem

lato zmęczone upałem
składa wyblakłe skrzydła jak motyl
i dyszy zasuszoną ziemią

astry budzą kolorowe główki
a drzewa szykują nowe sukienki
i umawiają się z wiatrem
na festiwal jesiennych zapachów

pożegnanie lata

2001-2001



Ocalenia

I

wówczas był to najpiękniejszy dom we wsi
stał twarzą do słońca
z czerwonej cegły
balkonik wypuszczony z dachu
i gładkie schody
półkoleście wiodące do drzwi – ale tylko od święta
na co dzień wchodziło się drzwiami bocznymi

przed domem w środku wsi były błonia
porośnięte trawą która tajemniczo rosła w taki sposób
że zawsze wyglądała jak świeżo przystrzyżona
to było centrum zabawa i uciechy
stąd wszędzie było blisko

przy błoniach leżał staw
nad stawem zebrały się różne światy
od strony północnej i południowej brzeg z wierzbami
zbyt urwisty dla gęsi i kaczek

spod Niedbałowej chaty po której nie ma już śladu
wypływało życiodajne dla stawu źródło
od wschodu bujne zarośla i wierzby spuszczały do wody swe warkocze
tutaj nie lubiło się zapuszczać nawet ptactwo

od zachodu brzeg nieregularny i poszarpany
nie mniej wysoki niż ten od południa
w rogu płycizna do pojenia bydła
stąd niewidoczny w zieleni strumień
odprowadzał wodę ku starej stodole

II

w czas dojrzałych zbóż
z najpiękniejszego domu we wsi
pięcioletnia dziewczynka w niebieskiej sukience kupionej od wędrownego sprzedawcy
(potem ubierała w nią swe lalki)
wyszła by złowić rybki w stawie przyjacielu
wędka z wierzbowej gałązki z drucianym haczykiem
wybrała brzeg zachodni ten stromy i wysoki
chciała zejść niżej by być bliżej wody
lecz woda bardzo jej zapragnęła
i przyjęła na pewien czas...

w sadzie nad brzegiem wschodnim (tym zarośniętym i ciemnym)
stary dziad Kupka –świeć Panie nad jego duszą –
usłyszał płacz dziecka
odrzucił dorodne liście tytoniu nabijane na drut podobny do tego przy wędce dziewczynki

wybiegł upadając na chorą nogę
do walki ze stawem zabrał grabie
nimi zagarnął dziewczynkę z powierzchni wody
ożyła i wyzdrowiała
i ubierała lalki w niebieską sukienkę

*potem sny mieszały się z życiem
domy okna ludzie zamknięte otwarte na świat
życia na tyle by płakać i śmiać się na przemian*

III

dziewczynka ma teraz dwadzieścia pięć lat
i przywykła marzyć o dalekich oceanach
świat otworzył przed nią niebo o kilku horyzontach
zdażyła już przemierzyć wiele krain
zawsze śniła o afrykańskich tropach
lecz niespodziewanie trafiła do zimnej krainy
w której niebo składa Ziemi biały pocałunek
schodząc polami lodowców aż do morza

skrawki łądu pękają od zamrozu regularnymi wielobokami
rozsadzając lodowymi klinami zziębnięte ciało ziemi
jest ta także miejsce na skromne łąki i kobierce mchów
towarzyszące letnim strugom ciekącym z ptasich osiedli
ta zieleń jest jak krew na pustyni kamienistej tundry
upstrzonej ciemnoburymi plechami porostów

gdy chmury zasnują niebo
z nie zachodzącym przez kilka miesięcy słońcem
zastyga krajobraz w kwarcytowej szarości
to nie smutek
ale mądrość spokojna

wystarczy że wiatry znad archipelagu przegonią chmury nad Morze Grenlandzkie
a już światło wyciąga z zakamarków kolory
rozdzielając je między ziemię i morze

w taki dzień
dwudziestopięcioletnia dziewczyna płynęła po szafirowym fiordzie
łódź mknęła wibrując na marszczących się falach
ład był daleki i dziś niepotrzebny dziewczynie z rozwianymi włosami
i chłopcu który kilkanaście lat potem przemierzył Północny Biegun
nagle *iceberg* ukryty pod taflą pozornie łagodnej wody
zatrzymał łódź i wstrząsnął nią szybciej niż myśl
znów woda wyciągnęła po dziewczynę zimne dłonie...

dziewczyna po wstrząsie opadła na dno łódź
myśli utopiła w zawiedzionej tafli wody
po kilku godzinach przybyły łozie ratunkowe

udało się wyłowić silnik Wujka Siedleckiego testowany na polarnych wodach
dziewczyna nie straciła miłości do tej krainy

*potem sny mieszały się z życiem
domy okna ludzie zamknięte otwarte na świat
życia na tyle by płakać i śmiać się na przemian*

IV

rok później
dziewczyna siedziała nad brzegiem tego samego fiordu
podziwiała stado wielorybów
wynurzających się z wód Hornsundu jak księżycy
i wyrzucających w powietrz perłowe fontanny
zachorowała przewlekłe „na Spitsbergen”
co oznacza że pokochała polarne ziemie

tamtego roku wołały rozległe połacie grząskiej tundry
wędrowniki były mozolne
obóz badawczy założono na Południu w starym traperskim husie
podobnym do przedziału w wagonie sypialnym
szpary między belkami utkano mchem
próbowano ogrzać chatę wciąż dymiącym piecem

Morze Grenlandzkie śpiewało za otworem zwanym oknem
dziwiła się dziewczyna że tak niewiele potrzeba
by ŻYC

na zewnątrz wychodzono ze strzelbą
nic nie zagrażało oprócz niedźwiedzi

zdarzyło się że dziewczyna została w husie razem z Antonim
który siedem lat później odbył w Tatrach ostatnią wędrownkę
i złożył ofiarę u stóp Mięgusza

wyszła na zewnątrz bez strzelby
niedźwiedź stąpał majestatycznie wachając kości fok
był bardzo duży dość stary
podnosił głowę wyciągając szyję w kierunku wiatru wiejącego od chaty

drzwi do husa były bardzo wąskie – na jedno pchnięcie niedźwiedzią łapą
Antoni skonstruował armatę podgrzewaną w piecu typu koza
rozzucili wokół husa konserwy mięsne by zaspokoić pierwszy niedźwiedzi głód
wreszcie rozpalili ognisko
obcy zapach dymu zniechęcił niedźwiedzia
zawrócił na południe...

*potem sny mieszały się z życiem
domy okna ludzie zamknięte otwarte na świat
życia na tyle by płakać i śmiać się na przemian*

V

daleko po trzydziestce
udało się dziewczynie wykraść życiu kilka chwil
i pospiesznie udać na arabskie ziemie

ujrzała ulice Rabatu bez budek telefonicznych
ulice pełne dusznego powietrza i klaksonów
ulice pełne mężczyzn
kafejki pełne mężczyzn

dziewczyna uciekła taksówką poza miasto
do krainy pustyń dolin rzek
pędziła drogą wśród korkowych lasów
gaworząc od czasu do czasu z Michelelem i Zahidem
przystając przy gajach opuncji i policyjnych patrolach

Meknes wyrosło nagle potężną bramą i żółtymi murami
(nic dziwnego że Rzymianie chcieli pojąć te ziemie)
gwar targ melodia wschodnich straganów groch fasola daktyle
na przemian z gumą do żucia

dopiero arabski dom odkrył dziewczynie ludzi
potem znowu pustynia

przez ciekawość
wyskoczyła zrobić zdjęcie osiołkowi i jeźdźcowi z wielkim koszem
nadjechał samochód i zahamował bez pośpiechu
znalazła się pod kołami
zdążyła pomyśleć o okularach (które się nawet nie rozbiły)
i zobaczyła swoje ciało nie będąc w nim...

wróciła do ciała
zakwefione kobiety zaczęły żałośnie zawodzić
ten śpiew знаła tylko z filmów i opisów
zgięta wpół zerwała się do lotu jak spłoszony ptak
zapadła w ciemność

gdy znów ujrzała świat
usłyszała głos arabskiego lekarza „God loves you”

*potem sny mieszały się z życiem
domy okna ludzie zamknięte otwarte na świat
życia na tyle by płakać i śmiać się na przemian*

VI

przyszędł czas
kiedy kosmos zawężił się do jednego człowieka

i uwięził dziewczynę o czterdziestu wiosnach
w czasie podzielonym na sezony *bez*
i sezony *z*

w oczekiwaniu wypełnionym gęstym od myśli powietrzem i niespełnieniem
człowiek odwrócił twarz
nie zostało nic
oprócz czasu przyjaciela
zauważyła go tuż przed śmiercią
ocalił dziewczynę
zabłyły gwiazdy i ożyły światy

potem sny mieszały się z życiem
domy okna ludzie zamknięte otwarte na świat
życia na tyle by płakać i śmiać się na przemian

epilog

co zostawić
a co zabrać ze sobą w trzecie tysiąclecie
to tak jakby plewy oddzielać od ziarna
myśli złe trzeba głęboko zakopać
słowa bez pokrycia puścić z rzeką o wartkim nurcie

zabierać nie trzeba zbyt wiele
wystarczy tylko miłość
wystarczy aż miłość

Spis treści

Słowo wstępne 5

PEJZAŻE

w Dalmacji 9

gdy na Grodzkiej zbyt ciasno 10

stary Kleparz 11

samotny 12

o świecie 13

Terra Australis 14

i cóż 15

w drodze do Dubrownika 16

to the Cape of Good Hope 17

Nippon 18

pożegnanie jesieni 19

SPOTKANIA

*** (węszysz) 23

tak, nie 24

w białym ogrodzie 25

nieobecne 26

w Dwerniczku 27

spotkanie 29

rozmowa 30

jak ptak 31

niedzielną homilia 32

kamyk 33

miłosierdzie 34

wigilia 35

modlitwa 36

jak wdowa 37

wolność 39

nie mów 40

Jan Paweł II w Katedrze na Wawelu (2002) 41

modlitwa na koniec 2002) 42

Stacja XIV: Złożenie ciała Chrystusa do grobu 43

wigilia 2003 44

CZAS

rejs 47

czas 48

jutro 49

czas odejścia 50

wszechstronny 51

tęsknota 52

klub odstawionych zabawek 53

powrót do raję 54

hymn do czasu 55

ból 56

tyle na dzisiaj 57

zmęczone upałem 58

OCALENIA

I *wówczas był to najpiękniejszy dom we wsi...* 61

II *w czas dojrzających zbóż...* 62

III *dziewczynka ma teraz dwadzieścia pięć lat...* 63

IV *rok później...* 64

V *daleko po trzydziestce...* 66

VI *przyszedł czas...* 67

epilog 68

Poezja i nauka stoją pozornie na przeciwległych krańcach oceanu poznania. A przecież nie tak rzadko zbliżają się do siebie, o czym świadczy fakt, że wielu uczonych bywa również poetami, jak na przykład Joanna Pociask-Karteczka [...]. Pełna prostoty i głębi jest poezja Joanny Pociask-Karteczki, która największe prawdy potrafi przekazać „wprost do serca”. Jest to poezja, jakiej wszyscy potrzebujemy.

Alicja Zemanek, *Ukryłeś mnie pod Twoją stopą*,
Szkic do poezji religijnej Joanny Pociask-Karteczki.

Oryginalność tych wierszy polega na szczególnym, pełnym ciepła klimacie pozornie zwykłych opowieści o ludziach, krajobrazach, spotkaniach. Wiele tu refleksji o czasie, o poszukiwaniu spraw bardzo oczywistych, a przecież niełatwych do znalezienia, jak dobro i miłość.
[...]

Są też podróże dalsze, metafizyczne, w obszar między życiem a śmiercią, z których poetka powraca bogatsza w doświadczenia i żarliwą miłość do życia.

Alicja Zemanek, Słowo wstępne do *Ocaleni*.

Joanna Pociask-Karteczka

Twarze z gór

(2008)

ten krok

*śp. Antoniemu Dobiji**

ściany zimne i popielate
rozkładały kościste ramiona
wołając ciszę niemego powietrza

śnieżny płat ciągle rósł

kosówka
leniwa sarna
pozostała dawno na dole

śnieżny płat ciągle rósł

tylko wodospad
mądrością stuletniego starca szemrał
zamierając powolnie w zlodzeniu

śnieżny płat ciągle rósł

lecz myśli nie biegły przed Tobą
na odległość większą niż jeden krok

ten krok...

1991-1992

*Dr Antoni Dobija – zginął w Tatrach 9 X 1991 r.

u Brata Alberta zimą (Kalatówki)

śnieżny puch
jak nieprzebrane korce moźeszowej manny
cichym dobrem pokrył Twój świat Bracie Albercie

za bramą Twoje pustelni
tak wiele ścieżek
zasypanych dziś śniegiem

jak dobrze przyjść z całym życiem
do Ciebie

Jak dobrze móc nie wybierać
i być unoszonym w białym obłoku
jak we mgle ślubnego trenu

Ty myśli smutne
zaklinasz w lodowe sople
przyłgnięte do gontu kościółka
myśli cierpiące
wrysowujesz w czarne konary
bezzlistnego klonu
a myśli radosne
zamieniasz w podskoki zaprzyjaźnionej wiewiórki

jak dobrze oprzeć się plecami
o drewnianą ścianę Twojego domu
i przez gałęzie zziębniętej jarzębiny
saniami oczu po górach żeglować
jak dobrze tu być
jak łatwo tu być

Ty
nie mówisz żegnaj
Bracie Albercie
Ty głaszczesz dłonią szorstką
i wciskasz do rąk okruch chleba
zebrany ze stołu wędrowców
szukających
dobra

Norwegia: w dolinie

Profesorowi Alfredowi Jahnowi

Świat lodu, słońca i skał
malowany wiatrem
spadającym ze strumieniem popielatej wody
i pchającym rączy zaprzęg reniferów
pędzących na żaglach zabłąkanych myśli

Biel otula tu wierzchołki gór
jak ciało sennego kochanka
i oddechem głębokim i chłodnym
głaszcze zbocze doliny

Ptak nie śmie zagwizdać
i rozłożyć skrzydeł
w białoszarym powietrzu nocy

Lecz gdy promienie słońca
utoną w dnie doliny
otwiera się świat stromymi gigantami ścian
lizanych potokami wód połyskujących na skałach niczym plastry srebra
rozlane na tłustym ciele nosorożca

I nikt tu nie odgadnie
gdzie kończy się ziemia
a gdzie niebo bierze swój początek
bo tu
niebo schodzi na ziemię
a ziemia wspina się ku niebu

1992

z Alp

rozszały się myśli
jak skrzydła białych aniołów
nad kaskadami alpejskich łąk

myśli otulone obłokami
myśli ślizgające się na strumieniach słońca

rozszały się myśli człowieka
na granicy nieba i turni

a człowiek sam pozostał
w dolinie ciemnej i wąskiej
otoczony drzewami
ze słów dozwolonych

1996

pevien człowiek

człowiek pewien lubił góry
nieważne czemu
sam zresztą dokładnie nie wiedział

wracał ciągle do gór
były mu potrzebne

zapraǳał kiedyś
zmierzyć swój podziw
wymyślił nawet jednostki
pisał równania
za każdym razem otrzymywał inną liczbę
choć wracał
w te same góry

w drodze do Pańszczy

choć na morenie zawsze brakowało tchu
dziś lekko udźwignąć plecak ze wspomnieniami

nawet gdy kryształ Czerwonego Stawu zapada cieniem Koszystej w przeszłość
łatwo żeglować w ramionach doliny
bo serce odstawione na bok

gdy na morenie znowu zabraknie sił
oczy zamiast na światło pajęczyny
rozpiętej na igłach kosówki jak welon

luty 2007

iskra

włączasz nerwowo outlooka
sącząc kroplówkę czasu
spacerując nerwowo po gładkich krawężnikach dobra i zła

idziesz w góry
zero zysku
mijas Koszystą
pliszka zabrała iskrę miasta

schodzisz z gór
by jeszcze mocniej kochać

VII 2005 – II 2006

spacer na Kalatówki

Profesorowi Jackowi Kolbuszewskiemu

mokro i chłód
lecz warto poderwać skrzydła choć na chwilę

nad granitowym brukiem drogi
z oddechu październikowej mgły
wyłaniają się bezszelestnie płatki śniegu
jak tafle magicznych jezior

w ciszy żeglują pytania
nie czekające na odpowiedź

w końcu
zmęczone ramiona świerków
biorą w objęcia biały puch
i zastygają ikonami
które jutro rozsrebrzy słońce

Zakopane – Waszyngton X-XI 2007

slopes of Biokovo

to Ante URSIĆ

the breath of the Earth cannot reach the islands today
and questions must slide down from the Biokovo silver slopes
they meet dancing cicadas in a tiny bay
and go back to the rocks finally finding a deep valley
one may see the other side of the Moon
from a wide spreading outlet of this valley
and clouds cannot share life with the wind there
words must run away
to the world with more and more people
an less and less truth

IX-XII 2007

tam

tam można spotkać wiatr
który obiegił całą Ziemię
i wrócił tu po latach

odbija się od turni i śpiewa dawne melodie
w nich dzwonki nad stadami owiec
kipiących na zboczu jak mleko
w nich echo okrzyków rozpartego przed szalasem bacy

wiatr zahacza o głązy
na których Eljasz przysiadł by odpocząć

tam można spotkać wiatr
który obiegił całą Ziemię

Hala Gąsienicowa

II 2006

nad Stawem Smreczyńskim

Stanisławowo Czubernatowi – Dyrektorowi Tatrzańskiego Parku Narodowego

zakolebały się myśli nad lasem
że tak albo tak
Ornak nie chce odpowiedzieć
Siwa wyraża wątpliwości
zmurszały świerk zamruczał
sitowie odpowiedziało szmerem
wiatr westchnął wspomnieniami
i zaszeleścił
jak suknia Łucji z Gierdoyciów Rautenstrauchowej
zapewne rzekłaby:
to jest tak
góry są po to
by nam nie było spieszno do nieba

II 2006

ponad

Dr. Pawłowi Skawińskiemu – Dyrektorowi Tatrzańskiego Parku Narodowego

szybuje na skrzydlatym limbą obłoku
ponad falami kłębiastej kosówki
pchany wiatrem świerczanego szumu

spogląda w dół oczami stawów
wciśniętych w granitowe ciało pochylone na północ
jak grzbiet zmęczonego globusa

o zmroku schodzi na ziemię
i wypija kroplę rosy z goryczkowego dzbana
słuchając liści borówek
klaszczących w takt wirującego dębika

zasypia na poduszce mchu
przytulonego do skalnej półki na ścianie Kościelca

we śnie rozmawia z jarzębiną
i mówi *nie odchodź*

X-XII 2005

kwiecień 2005

nie wiem czy to się stało

mówili że umierasz
mówili że umarłeś

dnieje

na stole cukrowy baranek
uśmiecha się spod wielkanocnej chorągiewki
nie wiem czy to się stało

mówili że umarłeś
był już pogrzeb
płakali

przesuwam pisanki bliżej okna
nie wiem czy to się stało

idę w Tatry
śpiewam „Barkę”

czy to się stało?

Sao Paulo IX 2005

była mapa skończona w czwartek
gdy słońce stało jeszcze wysoko

skołatany bus zjechał w bok
i można było mknąć na południe
renault-piątka weteranka przebrnęła bez awarii Zakopiankę

Babia witając zatrzepotała skrzydłami jak kwoka

stały w tiulowej zasłonie granatu

nazajutrz
snop światła poraził brodę rycerza
a jarzębiny nad Morskim
zakrzyknęły czerwienią hymn o górach
które zawsze czekają

XI-XII 2005

prowadzisz

prowadzisz do namiotu skalnego anioła
męczysz nogi zbyt szybko na wyslizganych dolomitach
którym towarzyszą roześmiane dębiki
i kępy kosówek

wstrzymujesz oddech gdy Zawrat kryje się w obłoku
i przemycasz przez Kozią myśli o niebie
potem uspokajasz spojrzeniem na Olczyską i Jaworzynkę

prowadzisz do namiotu skalnego rycerza
Skupniów Uplązie

II 2006

źródło

Profesor Danucie Maleckiej

rodzisz się kroplami deszczu w rzadko odwiedzanej dolinie
wciśniętej w granit jak kołyska
za szerokim wałem moreny

kwilisz z kwarcem i skaleniami
tęskniąc za plejstoceniowym olbrzymem

potem żegnasz się z kroplami rosy na uspiomych kosówkach
i wpadasz do podziemnego świata
prawda i fałsz nie są już tak jasne i oczywiste
ciemność zamazuje granice

spotykasz strumień który przenosi cię w szczeliny nowego ciała
uczysz się mowy krasowych korytarzy
i poddajesz woli tektoniki

grawitacja traci władzę
gdy jak niedźwiedź wsparty na dwóch łapach
wężysz za światłem i szumem świerków

rodzisz się kroplami deszczu w rzadko odwiedzanej dolinie
Olczyckie Wywierzysko

II-VI 2006

ul. Szymanowskiego 3 w lutym

Pani Annie Krupie

w pokoju nr 6
nie trzeba umawiać się z wiatrem
jest obecny zawsze
bezszelestnie biega nad podłogą
przemykając spod łóżka pod zlewozmywak

nocą wznosi się wyżej i wpada pod kołdrę
sprawiając wrażenie zimnego okładu

ten wiatr szuka twoich skrzydeł
sklejonych szumem samochodów
jak kwadratowe dni

drażni natrętnie stopy
i wpełza między żebra
trzeпоce uparcie o ściany serca
rozsypując wokoło strzępy piór

II 2006

w Smolniku: spotkanie z Jerzym Harasymowiczem

Alicji Trybule

gdy zacząłeś czytać
fale wspomnień
układały się jak pasmo Otrytu

między wierszami sunął labiryntem zadumany San
i nikt nie zauważył
że za oknem skradają się konary zazdrosnej czeremchy
a mała dziewczynka prosząca o autograf
zamieniła się w kępkę bławatków

w dusznej salce z kominkiem
było sporo wolnych krzeseł
zostawcie miejsce dla buków – poprosiłeś –
zagadały się dziś z wiatrem
ale na pewno zdążą...

XI 2006

na Pogórze Ciężkowickim przy drodze

Ks. Pawłowi Potocznemu

podniebny modrzew zatańczył z wiatrem
i wydał ciężkie westchnienie

szmerem odpowiedziała lipa
brzoza w pośpiechu zaklaskała

a słowa
słowa spadły na ziemię z łoskotem połamanych luster

VIII 2006

jak obfite grono

Basi Żarnowskiej

stoisz pękata jak obfite grono z winnicy Abrahama
złocisz się rozłożysta
w rozsądnych promieniach sierpniowego słońca
wznosisz się do nieba konarami modlitw i westchnień
tylko ściana kaplicy św. Józefa stoi niewzruszona

lipo szeleszcząca
lipo medytująca
lipo tysiącletnia
lipo złota
lipo w Burzynie

VIII-X 2004

las

chwytasz każdy powiew wiatru
tysiącami migotliwych liści
i klaszczesz
zamieniając powietrze w koraliki deszczu

chwytasz każdy powiew wiatru
i każde spojrzenie
lesie brzozowy w Burzynie

VIII-X 2004

niedawne podróże

Profesorowi Wojciechowi Chelmickiemu

właśnie opuściłam chłód Patagonii
i wróciłam zna jeziora San Martin

potem wybrałam brzegi Nakuru – sznury barwnych koralików
zawisły w różowej mgle pelikanów

zatęskniłam za piaskami Namib
w spędziłam chwilkę z welwicią
wspominając słońce sprzed tysiąca lat

zabrakło jeszcze kryształu Bajkału
zatem krótki moment w sosnowym lesie
na skalistym klifie...

uniosłam głowę
trzecia nad ranem
ach ten internet...

XI 2004 – VI 2005

jak rosa

Violi Zygmunt

bywa jak rosa
pożądana przez uwiędłe źdźbło

jak ogień
wpełzający zniszczeniem w zaułki australijskiego buszu

jak powietrze
dające życie wędrownym wielorybom

bywa
jak rosa...
jako ogień...
jak powietrze...

słowo

Boże Narodzenie 2005

wiersze Marzeny Dąbrowy-Szatko

o byciu „odtądotąd”
spotkaniu ze starszą „panią w kolczykach babci”
cieniu coraz dłuższym na końcu wędrówki
kwietnym wzorze przezroczystej firanki

o gołębich piórkach
łąkach „pęczniejących w wymionach krów”

o fotografii kulejącym na jedno oko
i wąskich schodkach Goethego

można śpiewać...

II 2007

przechylony dzban

Alicji Tanew

czy słyszysz to drzewo
które jesienią jeszcze bardziej pięknieje
deszcz szumi w „konarach przeczucia”
i zachwyca „drugą kobietę siedzącą na parapecie”

czy słyszysz krakowski hejnał
nad parasolkami kwiaciarek i siwą głowę kobiety
która w tiulowych rękawiczkach „wkłada wspomnienia do torebki”

czy słyszysz rzekę
szeleszczącą oczekiwaniem zawieszonym jak most wspomnień
dziewczyny w „spódnicy z obłoków”
zatrzymanej w ramce „siedem na piętnaście”

czy słyszysz „noc
która usiadła przy kobiecie”
i razem czekają na powrót świtu
kobieta „zawiesiła na rzęsach firanki
żeby nikt nie mógł podglądać marzeń wykąpanych na biało”

czy słyszysz opadające liście
pożółkłe od „spóźnionego zdziwienia”
i oczywistej wiedzy o niewiedzy
po upragnionym rozpoznaniu miłości
która „musi mieć czas by odejść”

czy słyszysz...

czy słyszysz...
to Alicja przechyla dzban
i sypie swoje wiersze
różnobarwnymi koralikami słów

wiosna 2006 – 26 XII 2007

znowu

znowu kasztany zaokrąglały myśli
wiatr zamiata sukienki drzew
babie lato przepływa przez usta jak okręt
i zaplata jedwabiem złote myśli

dopóki Ziemia szeleści w sercu
możesz jak co roku umawiać się z jesienią

jesień 2004 – 24 XII 2005

czekanie

wykonuje zawód co najmniej osiem godzin dziennie
pod koniec miesiąca musi zdążyć zapłacić za czynsz
stojąc w kolejce do kasy na źle zorganizowanej poczcie

cudzą gazetę przeczyta mimochodem w tramwaju
przez ramię przypadkowego pasażera

biegnąc by odebrać dziecko z hiszpańskiego
chwyci na Rynku piórko gołębia

potem stoi przed zamkniętymi drzwiami słów

czekanie poety na wiersz

Boże Narodzenie 2005

wiosna

ledwo
zaszumiało roztopami
odegnałam kwietniowe śnieżyce
przetrwałam przymrozki majowych ogrodników
otwierałam kielichy krokusów przez *Colegium Novum*

a już
niecierpliwe lato za progiem
i tyle zaległych spraw

przecież
nie zauważyłam mlecznych kasztanów
przeoczyłam zakochane pary na Plantach
zdeptałam główki tulipanów
nie dopatrzyłam spóźnionych bocianów

i nie mogę znaleźć zeszłorocznych sandałów

ja pięćdziesięcioletnia wiosna

VI 2005

syjon

droga na mój syjon wiedzie ścieżką
między powalonymi ciałami świerków
poległych w kadzidle zmurszałej przeszłości
między głazami granitów śpiewających spokojem
i pamiętających czasy wielkiego lodu

potem wkracza na polanę
pełną zadumanych goryczek
dźwięczących tłustoszy
i migotliwych jaskrów
wystraszonych trzaskaniem gałęzi
pod stopami niedźwiedzi

mój syjon nie przekracza nawet półtora tysiąca metrów
prowadzi tam jedna z naabardziej uciążliwych ścieżek
wyposażona w schody
niczym świątynia Borobudur

nie ma tam cedrów proroków i cudów
jest rdest
wytrwały mieszkaniec od tysięcy lat
są skałki z wapieni serii reglowej
i nie ma tam miejsca na słowa – podziw zniechęca do słów

mój syjon tęskni za oddechem
wypełniającym każdą szczelinę myśli
i spadającym z Waksmundzkiej
jak lawina

mój syjon
góra wytchnienia
góra gór

fragment rozmowy

...byłoby najlepiej
gdybyś przyszła nagle
wtedy gdy nikt na mnie nie czeka
(nie śmiem prosić o spotkanie w górach)

najmniej kłopotliwe byłoby
zdarzenie jednoznaczne
bez konieczności podłączania różnych aparatów

byłoby wspaniale
gdybym na palcach miała ulubione pierścionki
a na prawej ręce tę szafirową bransoletkę...

to już wiesz jakie mam pragnienia
i znasz moje preferencje
ale wiem
że swój spektakl urządzisz po swojemu
moja przyjaciółko
śmierci

XII 2005

jak dobrze

jest góra którą zdobędą inne nogi
jest ład do którego przybije inna łódź
jest miłość która opisze nie to pióro

jak dobrze rozbić namiot
w dolinie pokory

XI 2007



— Spis treści —

Z tomu *Na drugi brzeg* (1996)

- ten krok s. 8
u Brata Alberta zimą (Kalatówki) s. 9
Norwegia: w dolinie s. 11
z Alp s. 13
pewien człowiek s. 14.

Z tomu *Droga Krzyżowa* (1997)

- Stacja VII
 Pan Jezus upada pod krzyżem drugi raz s. 16
Stacja XII
 Pan Jezus umiera na krzyżu s. 17
Stacja XIV
 Pan Jezus do grobu złożony s. 18

Z tomu *Zostańcie* (1999)

- litania do gór s. 22
w góry s. 23
in the Andes s. 26
Ku najwyższej górze świata (I) s. 27
Ku najwyższej górze świata (II)
 In the Kathmandu Valley s. 29
Ku najwyższej górze świata (III)
 Running to Sagarmatha s. 30
Ku najwyższej górze świata (IV)
 It happened s. 32

Z tomu *Ocalenia* (2005)

- spotkanie s. 34
pożegnanie jesieni s. 35

w Dwerniczku s. 36
w Dalmacji s. 38
u Dalmacji s. 39
gdy na Grodzkiej zbyt ciasno s. 40

Twarze z gór. Wiersze najnowsze

w drodze do Pańszczycy s. 42
iskra s. 43
spacer na Kalatówki s. 44
slopes of Biokovo s. 45
tam s. 46
nad Stawem Smreczyńskim s. 47
ponad s. 48
kwiecień 2005 s. 49
* * * [była mapa skończona w czwartek] s. 50
prowadzisz s. 51
źródło s. 52
ul. Szymanowskiego 3 w lutym s. 53
w Smolniku:
 spotkanie z Jerzym Harasymowiczem s. 54
na Pogórzu Ciężkowickim przy drodze s. 55
jak obfite grono s. 56
las s. 57
niedawne podróże s. 58
jak rosa s. 59
wiersze Marzeny Dąbrowy-Szatko s. 60
przechylony dzban s. 61
znowu s. 63
czekanie s. 64
wiosna s. 65
mój syjon s. 66
fragment rozmowy s. 68
jak dobrze s. 69

Poezja i nauka stoją pozornie na przeciwległych krańcach oceanu poznania. A przecież nie tak rzadko zbliżają się do siebie, o czym świadczy fakt, że wielu uczonych bywa również poetami, jak na przykład Joanna Pociask-Karteczka [...]. Pełna prostoty i głębi jest poezja Joanny Pociask-Karteczki, która największe prawdy potrafi przekazać „wprost do serca”. Jest to poezja, jakiej wszyscy potrzebujemy.

Alicja Zemanek, *Ukryłeś mnie pod Twoją stopą*,
Szkic do poezji religijnej Joanny Pociask-Karteczki.

Oryginalność tych wierszy polega na szczególnym, pełnym ciepła klimacie pozornie zwykłych opowieści o ludziach, krajobrazach, spotkaniach. Wiele tu refleksji o czasie, o poszukiwaniu spraw bardzo oczywistych, a przecież niełatwych do znalezienia, jak dobro i miłość.
[...]

Są też podróże dalsze, metafizyczne, w obszar między życiem a śmiercią, z których poetka powraca bogatsza w doświadczenia i żarliwą miłość do życia.

Alicja Zemanek, Słowo wstępne do *Ocaleni*.

Joanna Pociask-Karteczka

bez dotyku

(2012)

bez dotyku

przyszło być w marszu
wśród betonowych dolin

w codziennym przebudzeniu na zboczach konieczności
na próżno szukać zapachu porannego igliwia
perlistego śmiechu górskich potoków
tajemniczego rechotu spadających głazów

i choć oczy zmęczone
ciągłym zaciskaniem powiek
w uszach szum jodeł
jak skrzydeł białych archaniołów

trzeba było wstąpić
w wieczystość podziemnych strumieni
by żyć wami
bez dotyku

styczeń 2012

Kocioł Czarnego Stawu Gąsienicowego

Jerzemu Tawłowiczowi

kiedy tam wchodzę
ustaje wszelkie myślenie

oczy zgarniają przełęcz nie pewności
szorstki granit wchłania wieloznaczność słów
śnieżne żleby nadają tor lawinom pragnień
szczeliny zwątpień wnikają między głązy

kiedy tam wchodzę
ustaje wszelkie myślenie
ale przestrzeń czucia
wypełnia się po brzegi

23-25 listopada 2011 r.

w grudniu Pod Capkami – spacer

las przemówił ciszą
zamroził oddech i powietrze
ołowianym lotem przefrunął ptak

chrzęst śniegu pod stopami miażdży słowa
przystrojone w stare kostiumy znaczeń
normalność ucieka z podkurczonym ogonem
w oszronioną biel świerków
nie zostawiając za sobą tropów

ścieżka omija skarpy i progi
trącając lękiem niewzruszoność skalnej ściany

i tylko nad głową
rozedrgane miraże elektronicznego nieba – do wzięcia od zaraz

grudzień 2010 – styczeń 2012

„Pod Capkami” – stary kamieniołom
na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego
w pobliżu Ścieżki Pod Regłami

oda do Bramy Olczyskiej

o czym mi dzisiaj zaśpiewasz skalna bramo?

czy o tym
że w podmuchach wiatru słycać przemykające obok ciebie
rzędy skarłałych dusz
które szukają po omacku ścieżek przyzwolenia
prowadzących nad urwiska rozpaczy

że złe nie przeminie i myśli skłębione chmurami
oswoić trzeba twym chropawym dotykiem

że okruchy marzeń odpadają z twego ciała rok po roku
a ty od milionów lat stoisz niewzruszona

o czym mi dzisiaj zaśpiewasz skalna bramo

26 grudnia 2011 r.

w Buczynowej Dolinie w czerwcu

Grzegorzowi Stecowi

jeszcze kilka godzin temu
świeciła tysiącami *rhizocarpon geographicum*
rozlanych na głazach jak słońca

a już wypełniona mgłą
po brzegi Czarnych Ścian
kipi myślami rozchełstanych ust

choć „wrażliwość podwaja istnienie”
tu można być tylko skałą
nad którą wznoszą się
rozmyte kontury życia

3 lipca – 26 grudnia 2009 r.

w Dolinie Waksmundzkiej

profesorowi Adamowi Kotarbie

choć wędrówka już w pół drogi albo dalej
w dolinie cień

głazy otulone mchem przeszłości
coraz szybciej umykają pod stopami

gdy ramiona chłostane gęstymi zaroślami czeremchy
zastygają w ekstazie średniowiecznego mnicha
psalmy w sztandarach jodeł wielbią wiatr

oświetlone słońcem szczyty
jak magnes przyciągają oczy
wzrok pełnie ku górze
ciągnąc za sobą niespełnione pragnienia
chwycone promieniami słońca
unoszą się nad Wołoszynem
a spadochron światła zamienia je w obłoki

widzisz...?
można dotknąć nieba
nie docierając do szczytu

Dalmacja, lipiec 2009

Tatry w płatkach śniegu

Redaktorowi Zbigniewowi Ładyginowi

przy wietrze o prędkości zero
drzewa milczą
migotają sukniami
w chybotliwych płatkach śniegu
to na dziś wystarczy

droga prowadzi w mleczną biel
ale wiadomo że jesteście
wiadomo że potężniejecie
wiadomo że groźniejecie

uczucia niespiesznie tkają srebrną szatę
okrywając puchem konary
okrywając igły
przesłaniając niebo

tak smakuje kształt bez dźwięku
tak smakuje obecność bez słów
tak smakuje milczenie

Kuźnice, 12-13 marca 2009 r.

nad Toporowym Stawem Niżnim

na tafłę Toporowego
wdarły się obłoki
tłuściutkie wizerunki Boga
nagle anioł zatrzepotał skrzydłami
zmarszczył tafłę jeziora
i zniszczył obraz Boga

grudzień 2007

na Hali Kopieniec we wrześniu

Hala zawisła opustoszałymi szafasami
w białej atmosferze mgły

do turzyc zmierzwionych kopytkami owiec
przytulają się skulone krople wody
nawet wiatr usnął na chwilę
i pozwolił wpełznąć myślom

Hala rozpostarła ramiona w kuli szklanej planety
zawieszanej w oczekiwaniu na zimę

wrzesień 2007 r.

cicho cichusieńko

na granitowym głazie
rosa rozlewa bezsilność jak morze
ból wnika fraktalem między kryształ

to nic że nad nimi turnia niebosiężna
że śniegi konarami żlebow rozkładają ramiona

dziś skała wtula się w dno doliny i drży
cicho cichusieńko...

Witów, 20-22 lipca 2008 r.

wspomnienie

była noc
w objęciach drzew szumiących od miłości

było lato
utkane krzykiem polarnych mew
i pytaniami o widnokrąg pragnień

były modlitwy żarliwe
spełnione p r z e d wetknięciem kartki w szczelinę Ściany Płaczu

był bulgot
wezbranego potoku pustych słów
udających treść

i był granitowy łoskot
odrzuconej miłości w cieniu Buczynowej Turni

b y ł a młodość

Ratajów, czerwiec 2009 r. – styczeń 2010 r.

tatrzańskie przyziemie – case study

klapki
półbuty
trzewiki
sandały
szpileczki
tenisówki
adidasy
trampki
japonki
trapery
kozaczki
tekstylia

byle do przodu

Dolina Kościeliska

i nie tylko

Witów, 22 sierpnia 2008 r.

pomyłka

ściana lasu zaśpiewała pożegnalną pieśń
żale ustały
płacze wsiąkły w miękkie igliwie świerków

za plecami kępki kosówki niczym zielone obłoki
płyną w mlecznym powietrzu spełnionych już marzeń

przed oczami ostre krawędzie skalnych półek
rzeźbią okaleczone sny zaplątanych szlaków

przewieszka pragnień przesłania wierzchołek
zdobyć
osiągnąć
pokonać
zdobyć
osiągnąć
pokonać

czy to nie pomyłka

5-6 stycznia 2012 r.

list

a jeśli życie jest listem
do kogo piszesz ten list

czy do kwiatów
którym wystarczą krople rosy i promienie słońca
by stać się cudem przestrzeni

czy do drzew
co pod batutą wiatru
szumią najdosłojniejszą symfonią wszechświata

a może do starej kobiety
która mlecznym wzrokiem
usiłuje przebić
zaporę okiennego szkła

a jeśli życie jest listem
do kogo piszesz ten list

6 maja 2011 r.

poranek

trzeba wpiąć we włosy szum wczorajszego wiatru
i zapleść warkocze pacierzy

w czoło wetrzeć emulsję łagodności
a nos natłuścić zaradnością w kremie

jeszcze
zmarszczki pod oczami
przyprószyć zielonym pejzażem bieszczadzkich wzgórz
a na wargi
nałożyć wczesnojesienną czerwień tatrzańskich jarzębin

poranny makijaż gotowy
można iść

styczeń 2008 – luty 2009

waiting for the Sun over Biokovo

million secret words and whispers
waiting for the sounds
hidden in the shadows of high-mountain dolomite crest
among the bushes and grass
growing without rain

thousand diamond-shining tears
remembering shivering yellow mimosa of last winter
wrapped up in the stray cloud
creeping along the ancient Roman trail
raising them to the sky

a single flame of breath
reaching the horizon with smooth islands
ready to cover with light
like a night-tight woman body
waiting for the vestment of love

it will never happen

Dalmatia – Cracow, August 2009 – February 2010

bora nad Biokowem

zawyło zniecka nad cykadowym zboczem
kaskady powietrza spadające gradem jęków i trasków
zmiażdżyły miłosne szepty nadmorskiej topoli

dęby jęczą na wietrze smagane biczami czasu
groby wypełniają się trzaskiem połamanych słów

kłębuszki oliwek przycupnęły na skałach
i z sosnami przylgniętymi do ziemi śmieją się
ha... ha...
ha... ha...
więj... więj...
siej... siej...
zrywaj... odrywaj... wznos... przenos...
znamy cię... znamy cię...

i tylko morze jednostajnym szumem
przenosi myśli w kołysce zatoki
a palmy w dostojnym pokłonie
zwracają twarze ku falom
przeczekać...
przeczekać...
przeczekać...

Dalmacja, lipiec 2009 r.

dying

to the Pablo Neruda memory

dying is when you see the forest
and only count the trees there

dying is when borders of your universe
are drawn by prayers only to your wills

dying is when you put your forgiveness
to the bottom of the deep sea

dying is when your hands
are hanging like dead branches of the evergreen tree
and your mouth does not look for new words

dying...

Dalmatia, July 2009

cudowne rozmnożenie

Maryli Baścik

rodzi się w dowolnym momencie
i dowolnym miejscu
może być zaledwie iskrą
albo płomieniem
tylko zapragnij

zwielokrotnia się
gdy się nią dzieli

tylko zapragnij

radość

24-25 lutego 2009 r.

czy wie

Szczęsnemu Wrońskiemu

w przestrzeni podzielonej na światło i cień
wynurza się w snopie żółtych promieni
i wkracza
zamaszyście jak na arenę

w ciemnościach kotłuje się tętent przyczajonych serc

w jasności słowo goni za słowem
drży
rży
śpiewa
piszczy
parska
wreszcie przystaje by porozmawiać z pauzą
i zamienić powietrze w purpurę znaczeń
potem zrywa się na nowo wirując planetami źrenic

czy wie
że zarzuca sieć

9 marca 2008 r.

sen I

za szybą laboratorium ultraniskich temperatur
człowiek oszroniony pychą
trzyma w gumowych rękawiczkach probówkę
i patrząc na srebrne ściany laboratorium
nuci pieśń o miliardach genotypów

sen II

w trwającym przeładunku człowieka do probówki
Ziemia rozkochana w człowieku
zadrżała płytami litosfery
oceany nabrzmiały lękiem
a koń z jaskini w Lascaux
pochylił ze smutkiem głowę

1 listopada 2009 r. – 11 grudnia 2010 r.

kolejka

„pozwól mi
dalej stać
w kolejce ”

Danuta Perier Berska

jedyna w której ustawiony jest każdy już od poczęcia
czy chce czy nie chce

jedyna w której większość się NIE NIEcierpliwi
i w której można NIE mieć czym zapłacić

jedyna w której nikomu nigdy nie zabraknie towaru

ile jeszcze dni ile godzin ile sekund
ile ...
w tej kolejce

Kraków, 24 października – 3 listopada 2011 r.

bądź pozdrowiony

Ojcu dr. Jerzemu Brusilo

którymkolwiek jesteś wymiarem
w jakiegokolwiek przestrzeni
czy w galaktyce
w kielichu fiołka
nabrzmiałym pąku kaczeńca
w nóżkach pędzącej gąsienicy
w tunelu dżdżownicy
czy na orbicie elektronu
w szalonym ślizgu fotonu
jonosfery
praoceanu

na pozbawionej rogów poźółkłej fotografii
w drgającej strunie harfy

którymkolwiek jesteś wymiarem
w jakiegokolwiek przestrzeni
bądź pozdrowiony czasie

listopad 2007 r.

ptaki

Alicji Tanew

spod skrzydeł twoich słów
wylatują ptaki
porywiste lub spokojne
wielobarwne lub szarawe
rozżarzone lub kojące

a kiedy trzeba
składasz skrzydła wzdłuż tułowia
i otulasz swe ciało
ciszą

Kraków, 8 kwietnia 2012 r. – Wielkanoc

tam

Redaktorowi Wiesławowi A. Wójcikowi

tam można spotkać wiatr
który obiegnął całą Ziemię
i wrócił tu po latach

odbija się od turni i śpiewa dawne melodie
w nich dzwonki nad stadami owiec
kipiących na zboczu jak mleko
w nich echo okrzyków
rozpartego przed szałasem bacy

wiatr zahacza o głązy
na których Eljasz przysiadł by odpocząć

tam można spotkać wiatr
który obiegnął całą Ziemię

Hala Gąsienicowa

(Twarze z gór, 2008)

w drodze do Pańszczycy

choć na morenie zawsze brakowało tchu
dziś lekko udźwignąć plecak ze wspomnieniami

nawet gdy kryształ Czerwonego Stawu
zapada cieniem Koszystej w przeszłość
łatwo żeglować w ramionach doliny
bo serce odstawione na bok

gdy na morenie znowu zabraknie sił
oczy zamień na światło pajęczyny
rozpiętej na igłach kosówki jak welon

(Twarze z gór, 2008)

iskra

włączasz outlooka
sącząc kroplówkę czasu
spacerując nerwowo
po gładkich krawężnikach dobra i zła

idziesz w góry
zero zysku
mijasz Koszystą
pliszka zabrała iskrę miasta

schodzisz z gór
by jeszcze mocniej kochać

(Twarze z gór, 2008)

nad Stawem Smereczyńskim

Stanisławowi Czubernatowi – Dyrektorowi Tatrzańskiego Parku Narodowego

zakolebały się myśli nad lasem
że tak albo tak
Ornak nie chce odpowiedzieć
Siwa wyraża wątpliwości
zmurszały świerk zamruczał
sitowie odpowiedziało szmerem
wiatr westchnął wspomnieniami
i zaszeleścił
jak suknia Łucji z Giedroyciów Rautenstrauchowej
zapewne rzekłaby: to jest tak
góry są po to
by nam nie było spieszno do nieba

(Twarze z gór, 2008)

z Alp

rozszały się myśli
jak skrzydła białych aniołów
nad kaskadami alpejskich zielonych łąk

myśli otulone obłokami
myśli ślizgające się na strumieniach słońca

rozszały się myśli człowieka
na granicy nieba i turni

a człowiek sam pozostał
w dolinie ciemnej i wąskiej
otoczony drzewami
ze słów dozwolonych

(Na drugi brzeg, 1996)

pevien człowiek

człowiek pewien lubił góry
nieważne czemu
sam zresztą dokładnie nie wiedział

wracał ciągle do gór
były mu potrzebne

zapraǳał kiedyś
zmierzyć swój podziw
wymyślił nawet jednostki
pisał równania
za każdym razem otrzymywał inną liczbę
choć wracał
w te same góry

(Na drugi brzeg, 1996)

jak dobrze

jest góra którą zdobędą inne nogi
jest łąd do którego przybije inna łódź
jest miłość którą opisze nie to pióro

jak dobrze rozbić namiot
w dolinie pokory

(Twarze z gór, 2008)

moje wiersze

moje wiersze
wydłubane w korze egzotycznego drzewa
nieśmiało wporwadam
do szeleszczących spokojem myśli
i zampinam w kaftan bezpieczeństwa

(Zostańcie, 1999)

* * *

szukają po omacku
drogi ku ziemi
płatki śniegu rozwiane na wietrze
jak nasze słowa

w konary nagich drzew
skurczonych z zimna i szarych od wiatru
wnika białe powietrze
jak myśli nieśmiałe i czyste

nie bój się

to tylko sen królowny Snieżki
zamienionej w pszczołę pachnącą miodem

(Na drugi brzeg, 1996)

Droga twa na Golgotę
ciągnie się
w nieskończoność
m y w pochodzie za Tobą
m y obojętni widzowie
m y okrutni żołnierze
m y z udawanym cierpieniem
cudownego życia
m y z cząstką Twojej boskości
ukrytą głęboko w zanadru
wyciąganą tylko na pokaz

(Na drugi brzeg, 1996)

Na drugi brzeg

(credo)

stoję na rzeką wspomnień
szeroką jak zwierciadło Luksoru
widzę wasze twarze
i ręce
które chwyciłam w ostatniej chwili

a potem
sama podawałam dłoń
aby prowadzić ku mojemu słońcu

stoję na rzeką wspomnień
i patrzę na drugi brzeg

dopłynę
na drugi brzeg

(Na drugi brzeg, 1996)

* * *

wydaje nam się
że Cię poznajemy
na nowo wciąż odkrywamy
drążymy od wewnątrz
jak gruby pień afrykańskiego drzewa
zapominamy
że jesteś w nas

(Na drugi brzeg, 1996)

by mnie obudzić

drażni mnie twoja Niewiadość
jak drażni śmierć

nie chcę
by pojedynek z Tobą
stał się upodobaniem

chcę jeszcze żyć
dla swojej śmierci
a dla Twego zwycięstwa
i dał twego wyciągnięcia dłoni
by mnie obudzić
by mnie obudzić
by mnie obudzić

Amen



W zaciszu śmierci

pamięci Jerzego Dynowskiego

W zaciszu śmierci (I)

stąd
odchodzi się tylko do Cisy

przystanki kroplówek
urozmaicają drogę
pomiędzy powiekami i ścianą

czy to już koniec – pytasz za każdym razem
w odpowiedzi
śnieg
i nadchodzące święta

W zaciszu śmierci (II)

dzisiaj
niebo w Twoich oczach
tak mlecznoniebieskie
aż przezroczyście i nieobecnie
będzie tak jutro
pojutrze
i później

a on
przykryty już białym prześcieradłem
ledwo dostrzegalne wypukłości nóg i głowy
jak odlew niekompletnej postaci
odciskają się
w plątaninie neuronów pamięci
i tak już zostanie

stając pomiędzy nim i Tobą
łatwo wymknąć się z obecności
i wyruszyć w podróż
która zawsze kończy się pytaniem

W zaciszu śmierci (III)

tamten
odszedł w trzecim dniu
w takiej chwili ustawia się biały parawanik
wśród dotykanych niedawno rzeczy
zapala się świecę
stoi sztywno na warcie
Styks płynie bezszelestnie

sprzątaczkę z mokrymi ścierkami omijają pokój
przy okazji zauważyły że
istnieją

W zaciszu śmierci (IV)

z nim tak dobrze się rozmawiało
mocno ściskał dłoń na powitanie
wiedział co działo się w nocy
co słychać w świecie

przygotowanego obola
nerwowo przekładał z lewej do prawej kieszeni
ciemnoniebieskiego szlafroka
pożegnaliśmy się „do następnego razu”

następnym razem
puste łóżko
ani śladu szlafroka...

W zaciszu śmierci (V)

stąd
odchodzi się tylko do Cisy

przystanki kroplówek
urozmaicają drogę
pomiędzy powiekami i ścianą

czy to już koniec – pytasz za każdym razem
w odpowiedzi
śnieg
i nadchodzące święta

Ratajów, 22 grudnia 2009 r.

NA GRANICY ŚWIATÓW

Twórczość poetycka Joanny Pociask-Karteczki oscyluje zwykle wokół tematów związanych z transcendencją. Do rozmyślań inspiruje Autorkę zarówno kontakt z naturą, co widać w prawie wszystkich dotychczas wydanych tomikach (*Na drugi brzeg*, *Zostańcie*, *Twarze z gór*), jak i szeroko pojęte doświadczenie religijne (*Droga Krzyżowa*) czy wydarzenia graniczące z cudem (*Ocalenia*).

Nie inaczej jest w przypadku nowej książki. Sam tytuł - *bez dotyku* - otwiera wielorakie możliwości interpretacyjne. „Bez dotyku” oznaczać może przecież równie dobrze (dojmujący) brak bliskości, zespolenia, zmysłowej więzi, jak odsyłać czytelnika w sferę doznań pozasensualnych, metafizycznych. Oba te znaczenia zdają się równolegle funkcjonować w wierszach Autorki.

Podmiot liryczny tych wierszy to, jak można wnosić z nielicznych śladów (np. *poranek*), współczesna kobieta, której przyszło żyć z dala od natury, w ciągłym pośpiechu, nieustannym hałasie, wśród koniecznych zajęć i mnóstwa niezbędnych spraw. Tylko niekiedy udaje się jej ukoić tęsknotę i przeżyć komunię z majestatem gór, poczuć *zapach porannego igliwia*, *usłyszeć perlisty śmiech górskich potoków*. To sprawia, że balansuje wciąż na krawędzi, między wyęsknionym krajobrazem tatrzańskim, bieszczadzkiem czy dalmatyńskim, w których od czasu do czasu znajduje ukojenie, a realnym światem codzienności. Ciągle jest w drodze, w marszu – bądź to przez skalne pejzaże górskich szlaków, bądź przez kamienne

widoki miasta, bądź gdzieś na pograniczu dwóch porządków – natury i cywilizacji.

Nieobecność ukochanej natury w codziennym doświadczeniu podmiotu lirycznego implikuje metafizyczne przeżywanie wędrówki po mieście, mistyczne doświadczenie przejścia z rzeczywistości ulic – *betonowych dolin* – do *wieczystości podziemnych strumieni*, gdzie drzemie ukryte wszystko to, czego na co dzień nie sposób dotknąć. Oba światy łączy *szum jodeł/jak skrzydeł białych archaniołów* – zachowana w pamięci mowa drzew, przenosząca bohaterkę z przestrzeni *profanum* do *sacrum* lub wręcz pozwalająca przebywać w obu światach jednocześnie.

Tak w tytułowym wierszu *bez dotyku* rozpoczyna się opowieść o tęsknocie do innego wymiaru egzystencji. Niezależnie od miejsca, gdzie znajduje się podmiot, trwa jego poszukiwanie łączności z Absolutem, z nad-rzeczywistością, która może być źródłem wiedzy o losie ludzkim i o sposobie istnienia rzeczy, jeśli uważnie się wsluchać w jej głos. Liryczna bohaterka zdaje się posiadać tę umiejętność w najwyższym stopniu. W obłokach dopatruje się *tluściutkich wizerunków Boga (nad Toporowym Stawem Niżnim)*, słyszy drżenie skał (*cicho, cichusieńko*), śpiew skalnej bramy (*oda do Bramy Olczyskiej*), pożegnalną pieśń lasu (*pomyłka*) czy wręcz *najdostojniejszą symfonię wszechświata (list)*. Zadając pytania naturze sugeruje możliwość otrzymania mistycznej odpowiedzi (*oda do Bramy Olczyskiej*), w dążeniu ku szczytom spodziewa się dostąpić metafizycznego kontaktu z niebem (*w Dolinie Waksmundzkiej*), poczuć smak *kształtu bez dźwięku, obecności bez słów, milczenia (Tatry w płatkach śniegu)*.

Opisane w ten sposób doznania przygotowują czytelnika do odbioru drugiej części tomiku, w *zaczysku śmierci*, poświęconej pamięci Jerzego Dynowskiego, hydrologa i przyrodnika. W ascetycznych szpitalnych lirykach pobrzmiwają echa tej samej problematyki, która pojawiła się w części pierwszej. Doświadczenie przejścia z jednej rzeczywistości do innej jest tutaj jednak bardziej namacalne, bo dotyczy odchodzenia bliskiej osoby do *Ciszy*. Świeca *stoi sztywno na warcie/Styks płynie bezszelestnie, a sprzątaczkę z mokrymi ścierkami omijają pokój/przy okazji zauważyły że/istnieją* (III). W tej sytuacji doświadczenie przejścia zmienia się w doświadczenie utraty, które owocuje przeżyciem – *nomen omen* – iluminacji, spostrzeżeniem własnego istnienia przez kontrast do cudzego już-nieistnienia. Owo nieistnienie manifestuje się w formach zgoła fizycznych – *ledwo dostrzegalne wypukłości nóg i głowy/jak odlew niekompletnej postaci/odciskają się/w plątaniu neuronów pamięci* (II) – sugerując dekonstrukcję ciała i przechodzenie jego obrazu w obszar pamięci, potraktowanej tu jednak biologicznie, czyli... przemijająco.

Sfera skojarzeń fizjologicznych wyznacza krąg nowych poszukiwań Joanny Pociask-Karteczki, prowadząc do opisu świata z innej niż metafizyczna perspektywy. Oto z obrazami reklam, które *płyną do mózgu rozpoznanyimi szlakami neuronów (skacząc po kanałach)* pojawiają się rozedrgane miraży elektronicznego nieba (*w grudniu Pod Capkami – spacer*), *miliardy genotypów (sen I)*, elektrony, fotony, czyli znaki nowoczesnych technologii, traktowanych przez podmiot liryczny z pewną rezerwą, zakorzenioną w głęboko humanistycznych przeko-

naniach o granicach ingerencji w naturę. Gwałt na naturze może się dokonać zarówno w trakcie *przeładunku człowieka do próbówki (sen II)*, jak i w *reklamie życia na obraz i podobieństwo/zniewolenia/bo wystarczy mieć (skacząc po kanałach)*. Refleksja o przemianach, jakie zachodzą w psychice współczesnego *homo sapiens* pod wpływem bombardujących go informacji i obrazów, prowadzi do punktu wyjścia, czyli pragnienia kontaktu z rzeczywistością pozazmysłową, potężniejszą od ludzkich dokonań. Ten kontakt jest jednak możliwy tylko w oderwaniu od cywilizacyjnego piekietka.

Bezskutecznie czekam na reklamę towaru deficytowego/ciszy – puentuje Joanna Pociask-Karteczka swój najnowszy wiersz, zapis wielkanocnych wrażeń z 2012 r. Rzadko mówi tak bezpośrednio, nie chowając się w krajobrazie ani bezosobowych formach uniwersalnego doświadczenia, rzadko używa pierwszej osoby liczby pojedynczej. Ta wypowiedź właśnie pozwala podejrzewać, że podmiot liryczny ma wiele wspólnego z samą Autorką – wrażliwą, otwartą na transcendencję, współczesną kobietą, a zarazem pełnym pasji naukowcem-geografem, podróżnikiem, filozofem.

Marzena Dąbrowa Szatko

Joanna Pociask-Karteczka

przebudzenie ewy



2018

a jednak

a jednak siądziemy razem przed domem
naszej wyobraźni
garściami czerpać będziemy zachody słońc
i wschody
to musi wystarczyć
na dziś
na jutro
na wieczność

spojrzeniem wstecz oprzemy oczy na ramionach białych gór
zawsze wiernych
wiatr od morza zaklaszcze liśćmi topoli
spłoszy przycupnięte pod kępką lawendy słowa
zbędne
to przecież nie one
uczają oddania na wieczność

Kraków, 15 sierpnia 2015 r.

and yet

and yet we will sit together in front of the house
of our imagination
with handfuls we will reap sunsets
and sunrises
it must suffice
for today
for tomorrow
for eternity

looking back we will lean our eyes against the shoulders of the white mountains
always faithful
wind from the sea will clap with the poplar leaves
and will scare words crouched beneath of lavender tuft

words are unnecessary
then they do not teach devotion forever

Kraków, 15 August 2015

Jerzemu Tawłowiczowi, w piątą rocznicę odejścia

aniele dnia ostatniego

gdy twoje skrzydła otulą mnie snem kosówki
niech zatańczą wiewiórki
wokół Smreczyńskich Stawów – uśpionych zwierciadeł nieba

figlarne myśli rozmoszczą się w soczystych wilgocią mchach
a ziemia pochłonie zgrzyt mieczy i krew

niech zaszumi wiatr w sztandarach świerków
i zamieni drzazgi dnia w pękate grona szyszek

gdy swoim skrzydłem otulisz mnie snem kosówki
skazę i cień oderwane od ciała
niech zabiorą naremne wody Dunajca
i niech w całunie jesiennych słońc
zawisnę w olśnieniu nad granią purpurowych skucin

aniele dnia ostatniego

Rusinowa Polana, 16 września 2017 r. – Zakopane (DPT Łada) 16 września 2017 r. – Kraków 27 września 2017 r.

po Bożym Narodzeniu 2017

odrzućcie

przybyli obcy
i pokłon złożyli
a swoi go nie przyjęli

owoce ich żywota brał w objęcia
wskrzesał uzdrawiał
i prowadził

na nic wabiący zapach kadzideł i wonnych przypraw
nikt nie zapuka do drzwi

z tej krainy nikt już nie nadejdzie
na tej ziemi nikt nie usłyszy wołania
tu słowa grzechotają jak kamienie
dni grzęzną w kokonach rytuałów
ścieżki norm rozdeptane na przełaj

choć drzwi otwarte na oścież
nie warto czekać

przybyli obcy
i pokłon złożyli
a swoi go nie przyjęli

13 stycznia – 6 lutego 2018 r. Kraków – Busko Zdrój

Dr. hab. Markowi Drewnikowi

buki na wiosnę

zielonożółte kłęby tłuszczą się złotem
jak cielce
po ich gładkich ciałach zimowe niepokoje skapują w dół
niestrawione zmagania spelzują po pniach

ziemia pochłonie wszystko
i zamieni w urodzajną glebę

26 kwietnia 2017 r. prowadząc przez las Dacię do Goczałkowic – 6 lutego 2018 r. Busko Zdrój

co dalej

z jakiego prochu powstałeś
w jaki się obrócisz

dzisiaj dwunożny
kiedyś
wyrzucony z Chaosu
pędzący w przestworzach galaktyk
ślizgiem na promieniach słońc gładziłeś swe kształty

patrzysz niecierpliwie w górę zadzierając głowę
znudzony Ziemią
meandrujesz zalotnie wśród gwiazd
uśmiechem mamisz Kosmos

to na nic
nawet tam
z jakiego prochu powstałeś
w taki się obrócisz

24 stycznia 2018 r. Monachium – Sztokholm w drodze do Turku

Dla Ani Sekuły

3M

Miłość – nigdy dość

Mądrość – nigdy dość

Modlitwa – nigdy dość

Dla Profesora Ignacego S. Fiuta

a może

słońce zaczyna już szarzyć oczywistościami wiedzy i niewiedzy
aż wstyd nie wzdychać w zachwycie
aż wstyd nie popadać w zadziwienie
a może lepiej być bytem znikąd
i widzieć tylko niebo gwiazdziste nad głową
niż ciągle udawać kukłę w teatrze chaosu
marionetkę w światach alternatywnych

a może czas
by jak gość
siaść pod lipą brzęczącą pszczołami
i odpocząć
od pytań bez odpowiedzi

16 czerwca 2015 r.

Dla Piota Tawłowicza

Babia w chmurach

czasami trzeba się ukryć
zatrzeć ślady do

powietrze wypełnić nicością
gęstą jak chmury

przy widoczności zero
droga do siebie
najłatwiejsza

8 lutego 2016 r., autobus Kraków - Zakopane

Basi Wrońskiej

quasi-awatary

mówisz
*na początku Bóg stworzył Niebo i Ziemię
potem człowiek mozolnie odkrywał drogę do piekła*

o jakże rozum jest potężny
w smugi raket zaplatamy psalmy pychy
oddechy wzruszeń zamieniamy w ciągi spacji kropek i nawiasów
błyski źrenic wklikujemy w tysiące emotikonów

z udawanym umiarem odejmujemy cząstki siebie
ostatnie atomy człowieczeństwa
wkrótce zostanie tylko szkielet
czy zostanie

Kartezjuszu czy nie wiedziałeś
że brak umiaru jest zmorą bytu

kurs z odczłowieczania
zdajemy na piątkę z plusem

mówisz
*na początku Bóg stworzył Niebo i Ziemię
potem człowiek mozolnie odkrywał drogę do piekła*

masz rację

Kraków 2010 – 2018

na widnokręgu

gdy na widnokręgu załśni biała łódź
zamilkną perły wodospadów
a spojrzenia utkwia w pajęczynach snów
niewyśnionych
słowa znajdą właściwe znaczenie w myślach
niewypowiedzianych
dłonie zacisną palce na busoli szlaków
nieprzebytych

gdy na widnokręgu załśni biała łódź
powieki odsłonią nowe ścieżki
oczekiwane...?

Zaduszki 2012

o świcie

gdy odchodzi noc
chwyta ostatnie iskry bledniejących gwiazd
wtula w umykający mrok ciepłą od snu twarz
wznosi ręce ku niebu
potem przynosi małą kawę
zasiada obok
zastyga w oczekiwaniu wielbiąc chwilę
przygląda się szlakom myśli i pragnień
zaczyna budować mosty dnia
moje ja

14 listopada – 1 grudnia 2012 r.

...i stał się Tybet

I

wiele słońc iskrzyło na niebach wysokich
nim stał się Tybet

trzeba było usiąść znowu na skrzydle magicznego ptaka
porzucić jedwabny szlak arabskich karawan
przełknąć ostatni łyk herbaty
i zamknąć rozstaje pamięci w malowidłach porcelany

bóg o torsie lwa i ogonie smoka
rozpętał burzę nad Wielkim Murem
choć krople deszczu powoli zmyły przeszłość
nie trzeba burzyć Muru
by ujrzeć walkę bogów
akacja przy Węglowym Wzgórzu
drży niezmiennie boleśnie

atomy informacji nadal ześlizgują się po rdzawych dachach pałaców
w wąskich uliczkach Zakazanego Miasta
białe chmury iluminacje spokoju zbierają się nad niewidzialnym orszakiem

między cieniami opasłych eunuchów
bezszelestnie przeciskają się przyczajone lęki
tłumione piskliwym szczebiotem konkubin

nefrytowa czara
nie chce gromadzić rozkruszonej na miał przeszłości

II

rdza żrenic
utknęła na rozmigotanych kolorami tankach
opasane wichrem ciało
bez żalu pożegnało smukłego żurawia
stąpającego po deszczowej glazurze placu
przed Świątynią Nieba

dopóki słońce
nie wznieci świętego ognia
i nie ujarzmi smoków dławiących się kurzem
mamimy czas wydeptując ścieżki na jutro i pojutrze

z zakamarków pątnicznych szat
trzeba wydobyć kamień
gładzony przez lata opuszkami wczorajszych dni
i złożyć na modlitewnym kopcu przy szlaku do nowych światów
rylcem na skale dotknąć
święte oczekiwanie góry

III

...i stał się Tybet
gdy słowa rozpadły się na tysiące skorup
w trzasku srebrnej błyskawicy nad murami Potala
białoróżowe płatki lotosu
uwolniły w pośpiechu przestrzeń porannych mantr
i tantrycznych szeptów
zagrzmiało gongiem Drepung
przyspieszyły modlitewne młynki

ukryty za progiem sen
przeniknął dymy jałowca
i przemknął między rozwianymi flagami
trzepoczącymi skrzydlacie na wietrze

przed dziś nie było nic
gdy stał się Tybet

wind in Zadar

smoothed-out

the white-silver shining pavements squeezed
into the ribbons of vastly-narrow streets

brandished

the palm of saint Anastasia
blessing immemorial-resting Uglian-island

put

sparse words to the dance
with branches of evergreen pines sparkling in the sun

took and swept away

all uncertainties

the Saturday wind in Zadar

Viena, 17 January 2016

Jesień w Dalmacji

gdy dni zasypiają brązem
morze oddycha jeszcze ciepłem przeszłości
wyspy szukają rozpalonych słońcem ciał

jak wygładzić fale
gdy wiatr przynosi słowa ociążałe od spóźnionych znaczeń
i niewyśpiewane latem pieśni

gdy dni zasypiają brązem
chodźmy w doliny szukać welonów białych mgieł
i ciszy kwitnących cyklamenów
kroplami rosy zwilżmy suchość słów

gdy dni zasypiają brązem

6 sierpnia 2014 r., Brela

The autumn in Dalmatia

when the days fall asleep bronze
yet the sea breathes with warmth of the past
and the islands are seeking the bodies burning of the sun
how to smooth the waves
when the wind brings words with belated meanings
and tinkling summer songs never sung

when the days fall asleep bronze
let's go to the mountain valleys
to search veils of white mist
and silence blooming wild cyclamens

let's moisture dry words
with the drops of fresh morning dew

when the days fall asleep bronze...

Brela, 6 August 2014

nareszcie

konieczne
przestaje być konieczne

stół może być spróchniały
słowa schować się do dziupli
słowa schowane w dziupli wiewiórki
a pieśń wnikać w chrobot myszy
a pieśń wnikięta w chrobot myszy

nawet stukot pociągu może zwiastować sen

szczyty nie muszą być zdobyte
wystarczy że istnieją

nareszcie
konieczne
przestaje być konieczne

26 lipca 2017 r. Kraków – Zakopane, okolice Pcimia, prowadząc Dacie Sandero z prędkością powyżej 70 km/godz.

Ks. Andrzejowi Baczyńskiemu (1957-2015)

warto

moje góry wstrzymały oddech
w oczekiwaniu na Twój oddech
szczyty zamarły na niebach bez słońc
lasy zaszumiały milczeniem

jak tu płonąć jasnością
gdy nawet aniołom odebrało mowę

za rogiem kruk dziobie ziarno jakby nigdy nic
nasrożone pióra połyskują tłustym granatem

warto wnikać w mgłę Twoich oczu
łatwiej jest tęsknić
za Tamtymi Górami
za Tamtą Rzeką
ze Źródłem Niewyczerpanym

20 listopada – 20 grudnia 2015 r.

Mamie

zmiany

byłaś
wszystkie drogi prowadziły do Ciebie
rano wieczór we dnie w nocy
wszystko było wiadome i jasne

potem
wniknęło w moje ciało
całe Twoje życie
moje oczy – Twoje oczy
Twoje słowa – moje słowa
Twoja przeszłość – moja przeszłość
jakby ubyło własnego ja
a mimo to coraz pełniej

teraz
choć obecne w sobie
tęsknota za gestem
za drogą
za powrotem
rozbladza niebo

jutro
rzeka terażniejszości
przeniknie Wszechocean
będziemy wszędzie
i nigdzie

Kraków, 9-10 lutego 2015 r.

miejsca

czy miejsca mają pamięć
czy to my urządzamy pamięć miejscami

zdławieni odłamkami zdarzeń
znużeni szukaniem prawdy
odurzeni zdobyczami humanizmu
wracamy do przeszłości
nasłuchujemy drzew głaszczemy skały dotykamy murów
sprawdzamy tożsamość miejsc

czy miejsca mają pamięć
czy to my urządzamy pamięć miejscami

Zakopane (DPT Łada), 3 maja 2016 r.

pamięci Stanisława Żebrackiego

przeszłość

czy miejsca mają pamięć
czy to my urządzamy pamięć miejscami

zdławieni odłamkami zdarzeń
znużeni szukaniem prawdy
odurzeni zdobyczami humanizmu
wracamy do przeszłości
nasłuchujemy drzew głaszczemy skały dotykamy murów
sprawdzamy tożsamość miejsc

czy miejsca mają pamięć
czy to my urządzamy pamięć miejscami

Zakopane (DPT Łada), 3 maja 2016 r.

Tereni Gronczak

miłość

cztery ściany
diamentowa
złota
kryształowa
i czwarta o pięknie dotąd niepoznanym
z oknem
za szybą góry
te najwyższe
sufit – niebo nad głową

miejsca w niej nieskończenie wiele
pomieści wszystkich i wszystko
blask diamentów
wierność złota
czystość kryształu
i to niewysłowione

wystarczy się narodzić

Kuźnice, 3 maja 2016 r.

Zenusiowi Żebrackiemu

młodość

nie przeminęła
jest w nas

wszechmocna gwiazda naprowadzająca
czeka skrzydłami gołębia na przywołanie
przeciska się w ciasnocie pamięci
wśród win i upadków przebranych
w pstrokate kostiumy arlekinów

młodość nie przeminęła
jest w nas

Kraków, 1 maja 2016 r.

mrok

ten wiatr
przybiera na sile o zmroku
przynosi wiersze – z nimi welony dusz
można wtedy urządzić świat na nowo
choć na trzepot motyla

to wystarczy by przeżyć do jutra

Ratajów, wrzesień 2015 r.

na lotnisku

każdy osobno
w kopule własnych myśli
lub mozaik smartfonów albo tekstur tabletów
strumienie informacji płyną w różnych kierunkach
bezszelestnie

szczelne zasłony tysięcy ja-kosmosów
ocierają się o siebie
dotyki są tylko pozorne

za szybą
na popielatej tafli
przysiadły dziesiątki metalowych ptaków
świeci słońce
dla nich i dla wszystkich

każdy osobno
w kopule myśli własnych
lub mozaik smartfonów albo tekstur tabletów
strumienie informacji płyną w różnych kierunkach
tak łatwo żyć z innymi
bezszelestnie

Monachium 30 listopada – Zagrzeb 2 grudnia 2013 r.

nie ma się czego bać

obrazy pod łodziami powiek
stają się coraz bardziej ociężałe od spóźnionych znaczeń
trzepot rzęs raz przywołuje
raz przegania motyle wspomnień

choć na horyzoncie słońce wtulone w kłęby granatowych chmur
nadal wymykają się niebu
żółte strumienie słów

nie ma się czego bać
to tylko czas łaskocze czoło
skrzydłem białego gołębia

Katarzynie Malickiej

nieboskłony

noc zeszła na ziemię górami
w nieboskłonie czaszki
trudno znaleźć szlaki neuronów
zakończone na szerokich równinach myśli

zostało tylko czucie
drgająca światłem przestrzeń

ciało wchłania obrazy dźwięki zapachy
słowa dziś zbędne

został tylko czucie
w każdym atomie ciała

Zakopane (DPT Łada), 11 września 2013 r.

nieodkryte łądy

nieodkryte łądy zdarzeń
czekają każdego ranka

trzeba ubrać wygodne buty
i zabrać sporo rzeczy na wszelki wypadek
by nie utknąć w pośpiechu
by nie utonąć w powszedniości
nie ugrzęznąć w odłamkach zwątpienia
nie potknąć się o głązy niecierpliwości
nie roztrzaskać się o skałę uporu

to nie takie proste
odkryć na nowo znane miejsca
objąć i przytulić znajomy kasztan
okiem mrugnąć do synogarlicy

nieodkryte łądy zdarzeń
czekają każdego ranka

Las Palmas – Kraków, 20 lutego – 8 marca 2017 - 11 tys. m nad Francją

Redaktorowi Maciejowi Naglickiemu

nim zapłonie noc

nim zapłonie noc
wtul twarz w poduszkę zielonych traw
i posłuchaj mądrości Ziemi
niepojętej

góra nad nami
wysuwa pierś ku niebu
szukając schronienia w psalmach
ponad symfonią wichrów

posłuchaj jak żarem złotej jesieni śpiewają lasy
szelest liści pod stopami pieśczośliwie otula słowa

słowa...
słowa przemijają
nie umierają spojrzenia

Kraków (ul. Rozrywka) 26 października 2012 r

Annie Tawłowicz

noc w Zakopanem

nagle zaszumiało świerkami
to anioły trzepocą skrzydłami
pod niebem wczesnej jesieni

usuńcie się
trzeba zrobić miejsce
anioły sfruwaj z gór

wielki księżyc świeci prosto w oczy
wypala drzazgi dnia
i srebrzy skrzydła aniołom

usuńcie się
trzeba zrobić miejsce
anioły sfruwaj z gór

w dole zgiełk
na jarmarku pozorów
miraże ładu do wzięcia od zaraz

usuńcie się
trzeba zrobić miejsce
anioły sfruwaj z gór

Zakopane (DPT Łada), 9-10 października 2014 r.

Andrzejowi T. Jankowskiemu

ostatnia prośba

oczekuj nas
przy wiecznie bijącym źródle

wśród majowych bieszczadzkich buków
odzianych w zielonozłote tiule
słońce ogrzeje poranne mgły niepokojów
nim na połoninach zabrzmia dzwony światła

wiatrem znad Otrytu przywołamy wielkie rzeki
ich nurty zatopią złomiska czasu
codziennosc stanie się świętem
wodospady zaperlą wieczory
i nic nie będzie już ciemne

oczekuj nas
przy wiecznie bijącym źródle

Bieszczady, 15 maja 2014 r.

pieśni wiatru

pieśni wiatru na chwile ucichły
i przyszedł czas
że liczy się tylko dotyk

ukryjmy się w baldachimach platanów
lub pod skrzydłami białośnieżnych mew
niech zanoszą nasze głosy do nieba
westchnienia niech zawisną kryształami kropel na promieniach słońca
dopóki trwa morze

niech dzień za dniem nie rośnie pustynia słów
i południowy wiatr nie wysusza dłoni oczekiwaniem

gwiazdy trącają twarz iskrami zdarzeń
przeszłość wchłaniają głębie oceanu
mimo jesieni zostawmy świetlistość twarzy
dopóki trwa morze

pieśni wiatru na chwile ucichły
liczy się tylko dotyk
dopóki trwa morze

Makarska – Brela, 27-28 września 2012 r.

podróż

i znów na skrzydłach magicznego ptaka
coraz wyżej
w dole patchworki zdarzeń układają przeszłość

trzeba przetrwać teraźniejszość choć coraz trudniej
choć niebo błędnie chmurami
i horyzont jak nigdy szary
dławiony nadal koniecznościami

magiczny ptak wznosi się w prawie-nicość
jak ciężko zebrać siły

wtem eksplozja słońca oślepi i piecze
prawie-nicość srebrzy się diamentem
to wystarczy by znów zatęsknić

daleka Ziemió wróć
nawet jeśli nikt nie zapuka do drzwi

24 stycznia 2018 r. lot nad Bałtykiem (Monachium – Sztokholm)

Edwardowi Bielowi

„zanim się słowo znajdzie na moim języku
Ty Panie już znasz je w całości”

Ps. 139

przystanek

kropiółka bezszelestnie flirtuje z czasem
niewyczekiwany pejzaż zamknięty w ramach białych okiennic
stał się nagle całym wszechświatem
kawałek nieba nad drzewami wycisza kraniec kosmosu

i tak jest
jest tak

słowa które zwykle gramolą się w mazi ułomności
zastygają w niemocy
zostało patrzeć

myślenie obrazami
stało się modlitwą
i trwaniem

szpital w Vác – Kraków, 9-29 sierpnia 2012

Jackowi Kajotochowi

przebudzenie ewy

przez lata
drżenia serca wnikwały
w skalne szczeliny granitowych szlaków
biodra zastygły
w ekstazie objęć gładkiego marmuru
wzrok utkwił na pajęczynie podniebnych tęczy

nagle przyfrunął górski ptak
i przyniósł w dziobie piórko śnieżnobiałej mewy

struna harfy drgnęła
ewa przebudziła się

Brela – Vác – Kraków, sierpień 2012

przystanek

zrobiło się dziwnie ciasno w gęstwinie konieczności
nie da się w przód w tył
trzeba przystanąć
tak.
trzeba.

dni ocierają się o siebie ze zgrzytem
trzeba poszukać dodatkowych minut sekund godzin
przedłużyć czas na wypełnienie

na bok odłożyć słowa
nawet umysł

teraz Boga da się wielbić tylko niemyśleniem

zrobiło się dziwnie ciasno w gęstwinie konieczności
trzeba przystanąć
tak.
trzeba.

Zakopane (DPT Łada), 28 lutego 2016 r.

skłon Babiej
bierze w objęcia purpurę słońca
ból rozlewa się w chmurze
czas wracać

3 lutego 2017 r.

to Dervişe

unknown space and people
fulfill the land of my imagination

is the love there
is the beauty there
does the wind blowing from the sea
sing a song with friendly dancing notes
are the flowers hopefully smiling with colors
are the mountains touching the sky there

unknown space and people
fulfill the land of my imagination

Balice – Larnaka, March 29th 2017

Tryptyk „Bramy”

Redaktorowi Markowi Grocholskiemu

Brama I – Znad doliny Raby (Naprawa)

Babia wsparta na tłustych obłokach
podważa zasadę grawitacji
palce błędzą po busoli szlaków
tak trudno meblować życie po omacku

dopiero gdy droga pnie się w górę
żagle świerków i ramiona brzoź
zgarniają niepokój
i zamieniają ciszę
w „głosów zbieranie”

Brama II - Zjazd z Obidowej

niech zastygną zegary
kiedy w ciszy pełnej głosów
wzrok łączywie wyławia znajome kształty horyzontu

choć droga jeszcze daleka
nie da się cofnąć żadnych słów
trudno zagrzebać popiół zdarzeń

jak to dobrze
że w welonach mgieł czeka tyle słów niewypowiedzianych
a krajobraz śpiewający wzgórzami kryje jeszcze
szlaki nieprzebyte

niech zastygną zegary
w znajomych kształtach horyzontu

Brama III - Dolina Olczyska

choć to brama ostatnia
prowadzi
do źródła
do początku
tutaj chęć trwania staje się jasna
spóźnione prawdy migotają w perłach wodospadów
niepokoje toną w nurcie potoku
dławione winy wyszarpuje czas i zamienia w skalne iglice
pragnienia chcą przyłgnąć do ścian gładkich ustupów
i spocząć t u

choć to brama ostatnia
prowadzi
do źródła
do początku

Zakopane (DPT Łada), 28 stycznia 2013 r.

umarli

umarli choć jeszcze nie zmarli
szukamy desperacko kwantów doczesności
gromadzimy sterty niepotrzebnych słów
gramolimy się w tak zwanych zdobyczach

strusie pióra i futra norek zamieniamy dumnie na figowy liść
by nie zaszkodzić mrówkom
nie przeszkadzać lemurom

składamy do snu księgi zim
z bladymi śladami na śniegu
znakami na piasku wypełniamy zatoki próżności

w przepełnionym panteonie wolności
doczepiamy sobie z uporem skrzydła
sklejane codziennym pacierzem
aniołom kradniemy przestworza
na szlakach do gwiazd galaktyk asteroid
choć na ramionach chłód trumiennych desek

umarli choć jeszcze nie zmarli
wyławiamy z przestworzy noce
rozjaśniane słońcami cnót

umarli choć jeszcze nie zmarli

listopad 2016 (Stary Kościółek, Zakopane) – maj 2017 (ul. Rozrywka, Kraków)

vrujo* bay

the strong stream of wind were released
from the cloud-capped mountain mouth
the high Velebit took a deep breath

swept away doubts and wandering words
with brush of blasts among humble olives bulgy pines

at least came to the bay
where the wind is dying
and the day meets silence

August – September 2016

* a karst submarine spring in Dalmatia (Croatia)

Kasi Soldańskiej

w dolinie Biokova

w krągłych ramionach doliny
warto wtulić się bez umiaru
i rozpocząć psalm wędrowania

z płaskich grzbietów szczytowych grani
ześlizgują się obnażone myśli

miejscami półki skalne
pozwalają wysłać pragnienia
na żaglach wysnionych tęsknot

na granicy żaru piekącego od cykad
i szczelin chroniących chłodne korytarze podziemnych światów
sny stają się rzeczywistością

choć góry sięgające nieba zostały w przeszłości
tu
pod stopami
głazy pozornie łagodne od wiatru
ostrzegają złowrogim grzechotem przed pustką
urwisko spada koniecznością zdarzeń

nauka gór
niskich i wysokich
jest taka sama

czas zaciera wczorajsze rany

Kraków, 19 sierpnia 2012 r.

kiedy miłość jest ciszą

kiedy miłość jest ciszą
nie trzeba szukać słów
wystarczy świst wichrów
w niebosiężnych kolumnach świerków
wystarczy śpiew wiatru w pióropuszcach palm

kiedy miłość jest ciszą
i tęsknota rozsadza każdą cząstkę kosmosu ciała
wystarczy tulić w palcach
gładkie kamyki myśli
szemrzące z falami na wybrzeżach ciepłych mórz

kiedy miłość jest ciszą
maszty wspomnień trzeba zatopić
w oceanie przeszłości

jest tu
jest teraz
jest jutro

Makarska – Brela 27-28 września 2012 r.

when love is the silence

when love is the silence
don't quest for words
the sough of gales in soaring columns of spruces
is enough
and the song of wind in the crown of palms
is enough

when love is the silence
and longing burst every part of thirsty body

it's enough just to cuddle in hands
smooth pebbles of thoughts
murmuring with waves on the beaches of warm seas

when love is the silence
masts of memories must be sank in the ocean of the past

it's here
it's now
it's tomorrow

Makarska – Brela, 27-28 September 2012.

Translated by Joanna Pociask-Karteczka & Rajan Mehta

Pawłowi „Pawciowi” Jaroszewskiemu

wigilijna podróż

a jeśli gwiazdy zawiodły
nawet ta jedna
wół i osioł nie przemówiły
karpom odebrało mowę
nieustanne dzingbellsy wzbudzają
natrętny powietrzny chaos

śnieg nie otula myśli i gałązek jodły
a mróz nie trzeszczy pod stopami
zajęty ścinaniem rozpaczy
nawet anieli umknęli w przestworza
miast skrzydłami glorii rozświetlać biel opłatka

wszechświat nieświętecznością ogarnięty

zostało to co najważniejsze
podróż w głąb siebie

Kraków, 15-16 grudnia 2016 r.

Krzysztofowi Wojnarowskiemu

„Time present and time past
Are both perhaps present in time future
And time future contain in time past”
T.S. Eliot

uwięził Ziemię w dwóch wymiarach
bezwzględnie

jego płaszczyzny
wibrują kosmosem chwil
sięgają dna
i zenitu

wydobyte z bastionu czasu wędrują do zakamarków wyobraźni
suplementy bycia na dziś
jutro
i wczoraj

Tampa, 18-20 sierpnia 2015 r.

Joanna Pociask-Karteczka

Tyle na dzisiaj

2023

Dalmacja 2018

trzeba zeszkrobać z ust rdzę słów
przywołać milczenie chwil

o świcie świergot jaskółki zasypie resztki niepokoju
fale przemielą przeszłość
wiatr przeniknie cyprysy
i uwolni skrzydła aniołów

znów zostanie oczekiwanie

Brela – Kraków, sierpień – grudzień 2018

dla Profesora Stefana Skiby

skrupulatnie

skrupulatnie choć w roztargnieniu
gromadzisz chwile zwykle

ktoś przypomni - nie słyszysz jak tyka?
rozkosz życia rozłóż na leżaku w słońcu
powędruj wolno miedzami
po polach beztroski

i co?...

skrupulatnie choć w roztargnieniu
gromadzisz chwile zwykle...

Poranek 10 kwietnia 2019 r. w drodze do Zakopanego (autobus MPK 182 do dworca)

Profesorowi Stanisławowi Mickowi

jak ptaki przelotne

„można powiedzieć tylko to
co da się powiedzieć
zawsze zostaje jakaś reszta”
B. Skulska-Papp

chcemy być jak ptaki przelotne
znać początek
i znać koniec drogi

znaczymy ślad w Kosmosie
prochem falami energią

bardziej niż oczom wierzymy mikroskopom i teleskopom
radośnie ogłaszamy odkrycia
choć ciągle brakuje nam zmiennych równań i funkcji
by opisać tą resztę

jesteśmy jak ptaki przelotne
łudząc się
że znajdziemy początek
i koniec

22 marca 2020 r., Ratajów - kwarantanna (koronawirus)

Profesorowi Pawłowi Jokielowi

jeszcze raz

tyle miejsc błyszczy w pamięci blaskiem kryształu
rysunki szlaków jasne i przejrzyste

w opadłych ramionach czuć szarpnięcie
aby tak jeszcze raz poderwać skrzydła
sięgnąć wzrokiem poza tęczę
ukłęknać i szukać światła

aby tak jeszcze raz poderwać skrzydła

...

28 sierpnia 2020 r., dzień przed ślubem Oleńki i Michała

listopad 2018

lato wrzało słowami
piekło skwarem cierni

jak dobrze
że nastąpiło jesienne ciszy zbieranie

przechodzi w szept liści – powietrznych żagli
w złotobrązowym pyle ciszy
na szlakach spokoju jesiennych Plant

Kraków, grudzień 2018

marzec – kwiecień 2020

kto w tej wojnie wrogiem kto przyjacielem
kto będzie zwycięzcą kto przegranym
jaki rycerz kryje się za przyłbicą

nim zaczniesz świata zadawać pytania
kto
dlaczego
po co

wroga zacznij szukać w sobie

2 kwietnia 2020 r., Ratajów – pierwszy *lockdown*

* * *

nie ma już X
nie ma Y
odszedł Z...

drogi odejścia różne
nagle
z cierpieniem
i te zgodne z porządkiem rzeczy

nie ma już *X*
nie ma *Y*
odszedł *Z*...
choć rodzą się inni
pustka po nich wieczna
lecz w sercu ich więcej
dlaczego dopiero teraz...

* * *

Apoloniuszowi Rajwie – w 85 urodziny

i jak... / w Tatrach

i jak tu tęsknić za niebem...
gdy pękaty krokus rozchyła fioletem studnię tęsknot
a rozhuśtana kołyska Pańszczycy
bierze w objęcia różańce dni

i jak tu tęsknić za niebem...
gdy grzebień Granatów
szesusze zrudziałą sierść pragnień tych zbędnych
a wysmukły dzięcioł
nasącza wibracją przestrzeń
gdy zięba skacząc przymilnie
zdziobuje uśmiechem okruchy bólu

i jak tu tęsknić za niebem...
gdy wał obłoków znad Zawratu
roztapia kolumny zła
zwała z piargami w dół
zatapia w czeluściach wód

i jak tu tęsknić za niebem
będąc w jego objęciach

23 marca 2019 r. Kraków, ul. Franciszkańska 3 (Kaplica
w Pałacu Biskupim) – 24 marca 2019 r. Kuźnice (dom Tereni
Gronczak

samotność gór (kwiecień 2020)

dzisiaj w dolinach mieszka tylko wiatr

łoskot skalnego rumoszu
nie stłumi okrucich łęku
a szum jodłowych skrzydeł
nie ukoi łkania rozpaczy

na próżno czekać
by ostre granie rozłupiły niepewność prawd
a szmer potoku złagodził drzazgi wspomnień

dzisiaj góry samotne
zastygłe w beczynności

dzisiaj góry
oczekujące

Zakopane – Kraków – Ratajów 27 kwietnia – 1 maja 2020

*Tacie**

pierwszy ON

choć serce jak ocean
zabrakło miejsca
by wypłynąć na kolejny rejs

kontynent życia pękł z trzaskiem metalu
iskry nie zabłysnęły w deszczu
moment nie przywołał zdarzeń

choć serce jak ocean
zabrakło miejsca
by wypłynąć na kolejny rejs

28 sierpnia 2020 r., dzień przed ślubem Oleńki i Michała

* Tata Michał Pociask – zginął w wypadku samochodowym

I

TEN poranek – Wielkanoc 2019

jak każdy inny
rozpoczął się ptasim świergotem
i chrzęstem kół z kamienistej drogi na bazar

welony dusz umykały w cyprysy
budząc ospałe cykady
wiatr wymiół oleum kobiet
i pusta jaskinia wypełniła się ptasim świergotem

nawet jeśli nie zmartwychwstał
to co
nie wystarczy
że umarł za Prawdę?

maj – lipiec 2019

II

TEN poranek – Wielkanoc 2020

nie jak każdy inny
w ten poranek biel hortensji srebrzy puste drogi

dziś powietrze gęste od oczekiwania
na złoty grom *wesoły nam dziś dzień nastał...*
na próżno

choć nie jak każdy inny
w jednym niezmienny

warto
umrzeć
za prawdę

Ratajów, 13 kwietnia 2020, Poniedziałek Wielkanocny

to Alisher Davidoff

morning sky

morning sky tells a fairy tale
about diamond birds
their white-gold wings efface fear

clouds hold the spatters of the events
in a dense cocoon of memories
and the wind takes them away to the East

morning sky
waits for the sun

23 November 2021, Kraków

Uleńce Radwańskiej

ROZKAZ DO TATR

znów zamykacie horyzont
strzeliste wyniosłe samolubne
bezwstydne w swym pięknie
wiecznym

cóż że jesteście na wyciągnięcie ręki
skoro dziś zostały tylko niebieskobiałe doliny korytarzy
z dziuplami sal
przewieszkami kroplówek
i mozolnym wędrowaniem przez Twój sen
z przystankami nad potokami szybkich oddechów

jak to możliwe
że blednące chabrowo oczy
są ciągle promienne
i nad wyraz błękitniejsze niż niebo nad wami

wy drwicie z zanikających uderzeń tętna
obojętnie rejestrujecie coraz rzadsze oddechy

wy niewzruszone twarde graniaste
zakorzenione w magmie
mocą kipiące
dajcie dziś swą siłę
żądam
natychmiast

Kraków – Zakopane, maj – czerwiec 2018 r.

Z Lourdes do Gavarnie autostopem (18 września 2019)

Australijka – właścicielka pensjonatu w Gèdre
przed dwudziestoma laty poślubiła Francuza
niech będzie błogosławiona

nauczycielka francuskiego - mama czteroletniej Lili
pędząca do wiejskiej szkółki w Gavarnie
niech będzie błogosławiona

Tomasz urodzony w Grenoble osiadł w Tuluzie
co dopiero przemierzył Patagonię
tu spędził noc w aucie by o świcie ruszyć na Monte Perdido
zachęca do przyjazdu do La Salette
niech będzie błogosławiony

bądźcie błogosławieni
teraz i zawsze

niech teraz i zawsze
cisza kotła Gavarnie przeniknie to co jest i to co się zdarzy
niech promień słońca przeszyje kryształ kwarcu
tkwiący od milionów lat w Pic du Taillon
niech nada gładkość waszym drogom

niech złomiska przy wodospadzie
pochłoną zgiełk i pychę
teraz i zawsze...

Januszowi Konieczniakowi

wędrówka

dziś orbity galaktyk biegną wzdłuż białych korytarzy
kapsuły czasu zanurzone w niemym szeleście kroplówek
a tu trzeba zaplanować wędrówkę wzdłuż rzeki
doliną
a potem do góry
zakosami po zboczu
na szczyt
może z odpoczynkiem na upłazie

kocham cię wyobraźnio

19 lipca 2021 r. Kraków

Joasi Pociask – Karteczce

Joasiu...

czy wiesz Joasiu,
że Twoje wiersze fruwać
gdy je czytasz
motyl siada na moim ramieniu
unoszę się na skrzydełkach słów
wyżej i wyżej
nie mam ochoty spadać
wierzę w przyjazny wiatr

Alicja Tanew
Z podziwu
dnia 16 lutego 2006 r. w Ogrodzie Botanicznym

Joasi

Zobaczyłam Cię sercem
 serce się nie myli
z oczami to bywa różnie
wydaje nam się, że mamy wiatr we włosach
wiatr w żaglach
a potem ten wiatr
rozbija się o próżnię
 spotkałam Cię jesienią
 nie Twoją jesienią
Ty nie nadajesz się do przemijania ani trochę
Uśmiechem kwitniesz
W każdej porze roku
A przemijanie jest smutne i płocze
i jeszcze
 podpatrzyłam w Tobie
 gibkość sitowia
 i poryw strumienia
i stało się tak
że odkąd Cię znam
 wierzę w ocalenie
cokolwiek by to miało znaczyć

Alicja Tanew
siódmego marca 2008 roku w Krakowie dzień był słoneczny

W Ogrodzie Botanicznym

Zapala świece myśli
jestem jasna
wiersze podsycają płomień
który nie gaśnie
bo w ogrodzie botanicznym
na chmurach
na gałęziach
i w piwnicy
siedzą poeci z zapałkami w głowach
wystarczy

poprosić o ogień

Alicja Tanew

na rozpoczęcie sezonu poetyckiego Teatru „Stygmaty”, październik 2006

POTOP

Joasi Pociask – Karteczke

Po nas choćby potop
poezji
rzekła rzeką
metafor
płynącej z ciepłego źródła
serca

Na pociechę
przytuliła cichy grom
z ciemnej ziemi
którego nie dosłyszałyby
mrówka
przyklejona do
żdźbła

Stałem nad
stawem jej zamyśleń
i słuchałem
szumu epok

A to szumiały
łzy planety
w kroplach
wody

które powinny
rozpuszczać skały
naszych
dusz

Zbigniew Tlalka, koniec 2022 roku

Wiosna 2007 – wspomnienie kosmicznej podróży

Mignął samotny Merkury udając że nie widzi zalotnego spojrzenia Wenus. Mars mrugnął znacząco poprawiając nakrycie głowy delikatnie tak, by nie tracić Ziemi pędzącej ku peryhelium. Antarktyda spokojnie zanurza się w półcieniu gotowa na przyjęcie nocy zaś Arktyka wzdycha gwałtownie oszołomiona trzaskaniem pękających lodów i ze łzami żegna Oriona, który niechcący machnął mieczem i obudził Mesartim... Ziemia w pogotowiu! Atmosfera nasycy się ciepłem i parą, jak zawsze, jak co roku, jak od tysięcy lat... Czas wydeptuje szlaki galaktyk. Okrąg czy spirala? A może ani okrąg, ani spirala?

Obok mucha zabrzęczała na balkonie. Kot na parapecie rozciąga grzbiet jak drożdżowe ciasto. Mrówka macha nóżkami jak witki młodziutkiej wierzby umoczonej w słońcu, słyhać pęknięcie zaspanych pąków brzozy. Gleba uwolniona od mrozu już pachnie. Ten zapach jest jak żyzny namuł.

Cóż, jeśli serce kamienne...

2007

RÓWIEŃ KRUPOWA (ZAKOPANE)

W styczniu, słoneczne i mroźne dni zdarzają się dość często.

W taki dzień schodziła w dół Równią Krupową. Przed oczami rozwalało się łaciate lasami cielsko Gubałowki, za plecami – paleta wielkich gór, ich obecność czuło się w powietrzu.

Tors Giewontu lewitował w świetlistej przestrzeni nad pasem chmur rozciągniętych wąską smugą między brzuchem skalnego rycerza a regłami.

O tej porze roku Krupówki bywają wypełnione rosyjskojęzycznym tłumem, który sunie kolorowym strumieniem w dół i w górę przeciskając się między polarnymi niedźwiedziami, gigantycznymi puchatymi świstakami lub nawet żywymi reniferami. W powietrzu – zapach z palenisk i kominków.

A Rowień zawieszona w ciszy.

Mieni się platynowo-rożowo-niebiesko-gwiazdnie. Trzeba mrużyć oczy, by nie oślepnąć od tego srebrno-perlistego blasku i odbłasku.

Zauważyła, że cały czas uśmiecha się śmiejąco. Do siebie? Boże! Chyba nie zwariowała! Skąd ten śmiech? Głośny śmiech! Mijający ludzie spoglądają dziwnie... Czy to śmiech bezmyślny?

Powód żaden.

Wie tylko, że jest TU i TERAZ, wie, że JEST.

I jest coś, czego nie potrafi nazwać.

Znowu utwierdziła się w przekonaniu, że w słowach mieści się zaledwie niewielka część tego, co jest. Szkoda, że tak mało człowieka i tak mało z tego, co otacza człowieka, można wyrazić słowami. Szkoda...

Wróciła do domu.

Mimo wszystko

rozpoczęła wędrówkę ku słowom...

Napisane w grudniu 2013 r. w Zagrzebiu, skorygowane 13 lutego 2017 r. gdzieś nad Hiszpanią podczas lotu Kraków – Las Palmas

Profesorowi Wiesławowi Ziaji

Lidfjellet (Spitsbergen) – lipiec 1983 roku

To było na około siedemdziesiątym siódmym stopniu szerokości geograficznej północnej, około półtora tysiąca kilometrów od Bieguna Północnego, na archipelagu rzuconym na między Morzami Grenlandzkim i Beauforta.

Lidfjellet – góra licząca zaledwie 534 m n.p.m. – wygląda majestatycznie, a to z powodu bliskości morza. Sylwetką odbiega od innych; jednym przypomina piramidę, drugim – trumnę. Góra niewysoka, lecz kusząca, niczym szkatuła pełna skarbów. Od wybrzeża oddziela ją tylko wąski pas nadmorskiej równiny. Od wschodu Lidfjellet sąsiaduje z wyższą o sześćdziesiąt metrów Gavrilovfjellet. Dolina między nimi jest wąska i ma charakter kanionu, którego ściany zbudowane są z łupków, mułowców i piaskowców. Doliny boczne są bardzo podobne, lecz dużo węższe i stromsze. Analiza układu warstw skalnych na ich ścianach może dać więcej niż niejeden podręcznik tektoniki.

Dziewczyna wspięła się w górę jedną z tych dolin. Potem, po coraz stromszym ciastowatym zboczu pokrytym płytkami śliskiej zwietrzliny pełzła wyżej i wyżej. Gdy zerknęła w dół w kierunku wybrzeża, równina i morze zaczęły mętnieć i wkrótce znalazła się w chmurze. Choć po omacku, brnęła coraz wyżej. W końcu dotarła do szczytu, który – o dziwo – porośnięty był kępkami mchu i sterczał, a właściwie wisiał, zawieszony ponad chmurami; płaski, wyglądający faktycznie jak wieko trumny. Położyła się na mchach: szarobiel chmur w dole, zieleń szczytu i niebiańska bładniebieskość – w ciszy nieprzeniknionej. Pustość przestrzeni przytłaczała drapiąco. To właśnie ten moment, gdy wystarczy wiedzieć, że JEST się TU i TERAZ, na Lidfjellet, trumnopodobnym szczycie. Tu myśl jest przestrzenią, która dopełnia człowieka. Reszta zostaje na dole. Jednak bycie z samym sobą nie jest proste; łatwiej patrzeć na innych, a jeszcze łatwiej oceniać i nawet osądzać.

Nagle na tle nieskalanej powierzchni nieba zauważyła srebrny punkcik. To samolot mknący na północ. Czyli nawet tutaj trudno liczyć na samotność... W dodatku gdy wstała, zobaczyła na tle chmur cień postaci. To była ona poza sobą. Wcale nie poczuła się różniej w widmie Brockenu. Tak, bycie z samym sobą nie jest proste, łatwiej patrzeć na innych...

Wróciła oczami na niebo, srebrny punkcik już zniknął.

2018 - 2019

Krakowska Noc Poetów 2020 - wieczór w kolorze różu

Jaki lubisz kolor? - pytanie Danusi Perier-Berskiej było na tyle zaskakujące, że na moment uwolniłam się od dręczących mnie myśli i dość szybko odpowiedziałam: teraz lubię różowy. Danusię spotykam głównie podczas spotkań poetyckich. Tym razem była to Krakowska Noc Poetów, która w tym roku odbywała się nie tylko w wyjątkowym terminie ale i wyjątkowym miejscu i okolicznościach. Rok 2020 upłynął bowiem pod znakiem pandemii związanej z chorobą zakaźną wywoływaną przez wirusa SARS-CoV-2. Życie zostało prawie sparaliżowane. Gromadzenie się ludzi było zabronione. Jednak Ania Pituch-Noworolska – sobie tylko znanymi sposobami – znalazła miejsce i zorganizowała spotkanie w siedzibie Okręgowej Izby Lekarskiej przy ulicy Krupniczej 11a. Ze względu na sytuację pandemiczną, mogli w nim wziąć udział tylko członkowie ZLP oraz Koła Młodych. Pamiętam, spotkanie odbyło się 15 września, chyba o godz. 17. Kilkanaście osób zebrało się w sporej, eleganckiej sali, w której znajdował się nakryty pokrowcem fortepian. Ponieważ w mojej głowie

kotłowały się myśli związane z jutrzejszą planowaną wizytą w szpitalu i pierwszą chemią, postanowiłam wziąć almanach i pójść do domu. Pozostanie na wieczorze wykraczało poza moje siły psychiczne. Guz był spory, prawie 5 cm. Po pierwszej chemii będzie druga, trzecia... i tak przez pół roku. Potem operacja, radioterapia... Zbyt wiele, by umysł skierować na tory myślenia poetyckiego. Po kilku tygodniach, gdy trzymałam w rękach ogromną, o nietypowych wymiarach kopertę, wyjaśnił się powód pytania Danusi. W kopercie była piękna mandala z głową Cherubina w centrum, zaś w ornamentyce mandali dominowały róż oraz złoto.

Mandala, oprawiona i zabezpieczona szkłem, towarzyszy mi podczas modlitwy i przypomina o wyjątkowej Krakowskiej Nocy Poetów w pierwszym roku pandemii.

Joanna Pociask-Karteczka

Fragment opowiadania pt. „Podróż jednego dnia (polarnego)”

8 VI 1983 rok, godz. 12:40 czasu moskiewskiego, pociąg relacji Moskwa – Murmańsk

Pociąg dotarł do Moskwy planowo. Ledwo obudziliśmy się rano, zjedli śniadanie, posiedzieli, a Moskwa i jej przedmieścia ukazały się naszym oczom. Sam dworzec – bardzo nieciekawym, przeciętnym. Dworzec Białoruski. Z tegoż dworca należało przejechać na Dworzec Leningradzki, z którego odjeżdżają m.in. pociągi do Murmańska i Leningradu. Adam* wykazał się swoją operatywnością i dosłownie w ciągu kilku minut znalazł samochód – coś w rodzaju naszego żuka – z dużą budą. Do niego załadowaliśmy sprzęt i siebie w tempie bardzo szybkim. Większość ulic, którymi jechaliśmy była szeroka, przestronna. Samochodów osobowych nie zauważyliśmy wiele. Były to pojedyncze pojazdy. Natomiast mnóstwo gruzowików, żółtych itp. z towarem lub bez.

Dworzec Leningradzki okazał się dworcem nowoczesnym, dużym, przestronnym, z popiersiami Lenina (podobno na ten dworzec, w którymś roku, przyjechał Lenin). Złożyliśmy rzeczy w jednej z poczekalni i zaczęło się czekanie oraz pełnienie dyżurów przy bagażach. Najciekawszym zajęciem w czasie takiego dyżuru było obserwowanie pojedynczych osób i rodzin, które spędzały w poczekalni bardzo dużo czasu. Koloryt całego społeczeństwa bardzo smutny. Twarze nieciekawe, pozbawione wyrazu, który można by jakoś jednoznacznie określić. Nad tymi ludźmi czuwa armia, której przedstawiciele w osobach stójkowych zaopatrzonych w krótkofalówki zaglądają co kilkanaście minut do poczekalni i w bezczelny sposób wpatrują się w twarze podróżnych.

Po odbyciu swojego dyżuru nasza grupka w liczbie czterech osób mogła wreszcie wyruszyć na ulice Moskwy. Zabraliśmy aparaty fotograficzne i z lekkim wzruszeniem rozpoczęliśmy spacer po mieście. Dochodząc do Kremla zauważyłam, że ludzie na ulicach wyglądają zupełnie inaczej niż ci, którzy przebywają w poczekalni na dworcu. Tak, różnica była bardzo widoczna. Ci bliżej centrum byli lepiej ubrani, bardziej eleganccy, wiele twarzy wręcz „dystygowanych”.

Na Placu Czerwonym nie omieszkałam sobie zrobić zdjęcia na baczność przed Mauzoleum Lenina, które mimo zamknięcia było obleżone przez turystów. Mauzoleum strzeżone jest przez dwóch żołnierzy wyglądających jak malowane kukły. Nie omieszkałam również uwiecznić na kliszy pary młodości, którzy podążali ku Mauzoleum aby złożyć Wodzowi wiązanek kwiatów. A kwiaty tego roku w Morskie coś słabe. Chyba, że to tak zawsze. To nie Kraków zasypany kwiatami, obleżony przez kwiaciarki. Szalem sezonu w Moskwie były piwonie i to tej najgorszej jakości. Tutaj o kwiaciarkach nie ma mowy a kawiarnie państwowe – owszem, zaopatrzone są w kwiaty ale... sztuczne.

Łatwo zauważyć, że ludzie podążają na Kreml jak pątnicy do Mekki. Naród daje upust swoim namiętnościom przed pomnikami i przed płytami poświęconymi żołnierzom poległym podczas drugiej wojny światowej. Tam stoją, wpatrują się w gwiazdę towarzyszącą wszelkim takim obiektom, tam składają wiązanki piwonii, wieczornika lub innych kwiatów.

Sam Kreml sprawia wrażenie kryształowo-złotego miasta jakie spotyka się w bajkach, z tym tylko, że zupełnie obumarłego, martwego. Cerkwie na zewnątrz są odnowione, ale wnętrza zamienione na muzea. Ponieważ byliśmy tam koło dziewiętnastej, wszystkie obiekty były pozamykane. Czuje się drętwotę tych obiektów, drętwotę atmosfery panującej na tym obszarze, martwość przerywaną gwizdkami żołdatów lub porządkowych z opaskami, którzy w tym gwizdaniu mają chyba osobiste upodobanie Pamiątkami, które można kupić w kiosku otoczonym złoconymi cerkwiami są Lenin w różnych pozach oraz gwiazdy i sputniki w różnych wydaniach. Czym prędzej wyruszyliśmy w drogę powrotną. Przy okazji zobaczyliśmy tłumy ludzi, Moskwičan, zmierzających z jakiejś okazji do pałacu Zjazdów – budynku w stylu „modern” – usytuowanego między starymi, zabytkowymi obiektami Kremla. Standard życiowy Moskwičan idących do Pałacu jest chyba bardzo wysoki, w każdym razie o wiele wyższy od reszty mieszkańców miasta. To było widać po twarzach, ubiorze, gestach. Wśród zmierzających do pałacu – mnóstwo zawodowych wojskowych.

Po opuszczeniu Kremla zeszliśmy nad brzeg Moskwy. Henryk*** miał wielką ochotę pójść na koniak do kawiarni Arbat. Doszliśmy tam po długim marszu bulwarem. Arbat – opiewany w balladzie Okudźawy, okazał się dość dużą kamienicą, w której na dwóch albo trzech piętrach mieszczą się restauracje i kawiarnie. Na parterze są sklepy. Parking przed Arbatem zajęty jest przez auta typu mazda itp. Nic dziwnego zatem, że nie wpuszczono nas do środka, jak powiedziano – z powodu braku wolnych miejsc. Być może Arbat cieszy się w Moskwie taką popularnością jak w Krakowie Wierzynek czy Hawełka (?).

Na dworzec wróciliśmy metrem. Czas odjazdu pociągu do Murmańska czyli do godziny pierwszej upłynął dość szybko. Rzeczy do pociągu załadowaliśmy również dość szybko. Podróż rozpoczęła się.

Prawdopodobnie regularny stukot pociągu spowodował, że obudziłam się o dziesiątej rano. Cały dzień jechaliśmy przez tajgę. Czasami mijaliśmy rzeki, jeziora. Leningrad przespaliśmy. Po południu zaczęło pojawiać się coraz więcej jezior ale ani za grosz – gór. Drzewa rosną tutaj nieomal na litej skale. Wyglądy lodowcowe osiągają niesamowite wielkość, teren pokryty jest głazami narzutowymi, do jezior uchodzą ozy – jak w podręczniku Klimaszewskiego. Rzeźba polodowcowa wydaje się tutaj być bardzo świeża. O godzinie pierwszej w nocy słońce było nad horyzontem. Niebo przybrało purpurową barwę. Potem zaległa szarość. Ponieważ czas zegarowy odpowiadał nocy, położyłam się spać. Im bliżej Murmańska tym grubość osadów lodowcowych zwiększała się. Był to materiał bardzo drobny, w którym tkwiły małe i urastające do ogromnych rozmiarów głazy. Tuż przed Murmańskiem, w dolinie rzeki Kola odsłania się piękna odkrywka z takim właśnie materiałem na zboczu doliny. W dole płynie rwąca, ślizgająca się w skalnym korycie Kola.

Tak więc przybyliśmy do Murmańska, gdzie czekamy na okazję, aby zabrać się jakimś statkiem do Bartentsburga. Miasto położone jest nad Zatoką Kolską. Przypuszczam, że w zatoce nie jest dobrej jakości z powodu funkcjonującego dużego portu. Widać dokładnie stacjonujące tam okręty wojenne. Samo miasto – powstałe zaledwie w 1916 roku – nie jest zachwycające, tzn. nie ma w nim nic szczególnego oprócz cmentarza polskich żołnierzy i ogromnego pomnika górującego nad miastem. Jest to podobno postać Aloszy, który wysadził się w powietrze granatem gdyż wolał umrzeć aniżeli iść do niewoli. Pomnik poświęcony jest radzieckim żołnierzom, marynarzom i lotnikom II wojny światowej. Jest ogromny, ma 35,5 m wysokości. Mieszkamy w hotelu „Arktugol” – bardzo blisko centrum. Na chwilę obecną wiadomo, iż wczoraj odpłynął statek, który mógł zabrać nas wszystkich, dziś rano odpłynął następny, który mógł zabrać część ekipy, najbliższy natomiast będzie dopiero siedemnastego

czerwca, czyli przed nami – osiem dni czekania. Inne wyjście to przelot od Archangielska, skąd pojutrze odpływa statek, na który prawdopodobnie mogłaby wsiąść część naszej ekipy. Do tej pory jednak nie wiadomo ile i czy w ogóle są wolne miejsca. Tak więc istnieje masa spraw niewyjaśnionych, których przynajmniej część wyjaśnimy jutro a właściwie dzisiaj gdyż jest już po godzinie pierwszej w nocy.

10 VI 1983 rok, godz. 16:50 czasu moskiewskiego, Murmańsk

Pół godziny temu Wiesiek** przyniósł wiadomość, że za dwie godziny odjeżdżamy pociągiem do Archangielska, skąd popłyniemy na Spitsbergen. Część grupy lub całość popłynęłaby w niedzielę. Adam polecił abyśmy byli w pogotowiu, czyli siedzieli na plecakach (spakowanych) i czekali. Przyjęliśmy to do wiadomości i rozpoczęliśmy czekanie – oczywiście w nieco innych pozach aniżeli zalecił nam Adam ale byliśmy ciągle w pogotowiu. Tymczasem z Wieskiem pognali dalej coś załatwiać. Przed chwilą przyszedł Adam i oświadczył, że nie jedziemy i znowu gdzieś pognał. Nie jest wykluczone, że za dziesięć minut wpadnie znowu i powie, że jednak jedziemy ale np. samolotem choć – jak się potem dowiedzieliśmy – samolot raczej nie wchodzi w rachubę, gdyż jako obcokrajowcy nie mamy prawa wstępu na lotnisko w Archangielsku. Przypuszczalnie ze względów strategiczno-politycznych.

Prawdopodobnie będziemy tutaj siedzieć do poniedziałku. Będzie więc czas aby pójść na cmentarz, do kina, może do teatru, może połowić ryby. Zaczęłam zatem pisać list do Janusza****. Nie dokończyłam, bowiem Wiesiek wpadł jak grom i wypalił, że jedziemy. Wobec tego szybko zakleiłam, kopertę. Niepotrzebnie. Mogłam pisać dalej ponieważ okazało się, że jednak nie jedziemy...

*Adam – Adam Krawczyk – kierownik wyprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego na Spitsbergen

**Wiesiek – Wiesław Ziaja – uczestnik wyprawy

***Henryk – Henryk Głąb – uczestnik wyprawy

****Janusz – Janusz Karteczka – mąż autorki

Joanna Pociask-Karteczka

Wiersze 1977-1991

2018

*Przed nadejściem czarnego zmroku
Przed nadejściem jasnego poranka
U c z e s t n i c z ę*

*Deszcz przemoknięty
Gałęzie pogmatwane
w rozpacz*

*Zmurszały dach
nad zaśmieconą komnatą świątka
pokreślonego rysami czasu
woń kwiatów budzi się dopiero*

*Wspieram się na zmurszałym płocie
Nie umiem cierpieć
Pochłaniam szarość tego miejsca
Uczestniczę w misterium dnia
pierwsze rejsy motyli*

*Boję się wyruszyć dalej
Boję się powrotu
Z workiem szarego prochu na plecach*

*pozwalasz mi Panie upadać
przecierać oczy*

*pozwalasz powstawać
by droga nie miała końca*

*słyszę ciszę twoich oczu
w barwie górskiego nieba
zbieram słowa dla ciebie
w kroplistym pęku krokusa*

*z radości naszych spojrzeń
chce ulepić świat
ten mój
mały
ograniczony murem lasem rzeką
a może sobą*

*odszedłeś Boże młodości
Boże spontaniczności
dziś muszę lepić Cię na nowo
by choć trochę zrozumieć siebie
a wiem
że jesteś taki sam*

*radosne przyzwolenie na bunt
i los
kosmiczny zygzak
nie spełniony
oczekiwanie eksplozji
ze szronem lodowym
Lepiej uciekać w przestrzeń jak kometa*

*powracam do życia
z krainy bez dnia i bez nocy
z krainy chwili teraźniejszej
ograniczonej tobą i mną*

*i ...? zdarzeń nadzwyczajnych
skracanych pośpiechem do gestów
z konieczności wystarczających*

*zostaw za sobą nie domknięte drzwi
by nie czekać na otwarcie znowu*

*słowa więzić już ciężko
w skorupach białych pościeli
wypranych dawno z prawdy*

*już ciemno
zbyt ciemno by szukać*

nie mówmy nic

*obawę przypasujmy do portretu złudzeń
karmionych obrazami zdarzeń
kłujących oczy
aż do ślepoty*

*wchodzę w moje miasto
na szare i stare ulice*

*dwunastu apostołów
w nowych białych szatach
z setkami załamań i fałdów*

*i ta wieża prawie do nieba
nad wapienną świątynią*

w betonowym słupie ulicznej lampy

*w betonowym chodniku przed oknem
w betonowym murze na wprost
w betonowej klatce
która jest całym jego światem
ucieka od betonowych ludzi
i od betonowych snów
i nie chce stać się betonem
bijąc głową w betonowy mur*

Być z Tobą

*Ty Wielki
Ty Nieskończony
Ty Nieosiągalny
a bliższy*

niż ja sam sobie

*być z Tobą
jacykolwiek jesteśmy
to wystarczy nam
żyjącym
„tylko” Twoimi słowami
zbyt słabi jesteśmy
by zamieniać je w czyn*

*być z Tobą
bo
wtedy jesteśmy*

Amen

być

*twoim
świerszczem
za kominem
chciałabym
gdy siedzisz
przy piecu\glinianym
a wiatr
śpiewa ci
o mnie
piosenkę
bez słów*

*ze słów niewypowiedzianych
i chwil niedokończonych
układam życie*

*myślami twymi
buduję drogę
by myśli moje
mogły płynąć
do nieba twoich oczu*

*jak trudno trwać
w tym świecie
prawdziwym*

*jak trudno mówić
gdy świat ten
jest bez słów*

*jeśli dach naszego domu
to niebo
i z okien do planet
tak blisko
a drzwi na oścież otwarte
dla mgieł jesiennych
i wiatru hulaki
dlaczego musimy być
tak skąpi dla siebie*

*tak wiele ciebie
w ciszy
włóczędze jesiennych dni
znajduję żal
że trzeba odejść
trzymając się szelestu
opadających liści
pachnących jesienią*

*nasze zapatrzenia
mówią więcej
niż słowa
cóż więc jest piękniejsze
nad ciszę naszej rozmowy*

*chcę znać ciebie
z ciszy
i znać ciebie
z poszukiwania
ponad głowami tłumu*

*siedząc razem
mówimy
na tyle dużo i szybko
by zapomnieć o najważniejszym*

*wreszcie
idziemy
ulicą
o b o k siebie*

*jak nadrobić osobnością
to
czego nie rzekliśmy*

*dziś słowa
przesiewam jak mak
przez sito moich wspomnień*

*nie zostaje nic
tylko jarzębina
zachwyca jak dawniej*

*tulę się do kwiatów
i oddycham niebem*

jestem

*tak bardzo
jestem
za nas
dwoje*

*nim nadejdzie czas
wielu rzek
chodźmy razem
bo łatwiej
brnąć
trzymając się
za ręce*

*między
nami
ulica
rzeka
miasta
góry
jeziora
morza
ocean
a my
jesteśmy
coraz
bliżej*

Dom

*Kwilenie ptaka zatopione było w wilgotny mrok
świerszcze były uśpione
a rosy złożyły dłonie na zmęczonych trawach*

*biegliśmy by zdążyć
nim ściany naszego domu stulą się do snu*

*nasz dom
to kwiat kaczeńca*

świat zamknięty w złotej kuli

w żółtym zapachu cisza mówiła za nas

*rankiem zsuwaliśmy się po łodydze w dół
na spotkanie dnia*

*a potem
znów wracaliśmy w pośpiechu do naszego domu*

chciałeś mi otworzyć drzwi

*ktoś zerwał na bukiet
naszego kaczeńca*

Dom

*Kwilenie ptaka zatopione w wilgotny mrok
uśpione świerszcze
rosy składały dłonie na zmęczonych trawach*

*biegliśmy by zdążyć
nim ściany naszego domu stulą się do snu*

*nasz dom
to kwiat kaczeńca*

świat zamknięty w złotej kuli

w żółtym zapachu cisza mówiła za nas

*rankiem zsuwaliśmy się po łodydze w dół
na spotkanie dnia*

*a potem
znów wracaliśmy w pośpiechu do naszego domu*

chciałeś mi otworzyć drzwi

ktoś zerwał na bukiet
naszego kaczeńca

*wpłyniemy na falujący ocean traw i kwiatów
to nasz ślubny ołtarz
kochany
wiatr zwiąże nam dłonie smugami słonecznego światła
a majowy deszcz pobłogosławi nasze głowy*

*i będzie święto
orkiestra zagra cykaniem świerszczy basami trzmieli*

*ślubną wiązankę z polnych kwiatów
zostawię na ołtarzu między wierzbami*

*wnet wszystko ucichnie
końcem nabożeństwa
a my
wyruszymy w podróż*

wzdłuż błękitnej rzeki

*tylu słów nie zdążę ci powiedzieć
tyle gestów zasuszę w szufladzie wyobraźni*

*w dialogu samoobsługowym
nie oszczędzę sobie komplementów
i tobie ostrych komentarzy*

*a gdy się spotkamy
na mój uśmiech odpowiesz uśmiechem*

*umiem cieszyć się Kosmosem
planetami pyłem gwiazdnym
dlatego tak łatwo dajesz mi radość
choć nie ma cię na wyciągnięcie dłoni
i nie ma cię na odległość wzroku
tylko myślą mogę cię dotykać*

*doczekałam się Haniu naszej szczęśliwej gwiazdy
wcale na nią nie czekałam tak jak czeka się na ukochanego
ta gwiazda zabłysnęła
jak mignięcie morskiej latarni
która już nigdy nie zapłonie*

i już wiem

to samo tchnienie

*to samo ciało
i ten sam ból*

*choć dwa serca
na dwóch ścieżkach*

Lucyna Najs

*Nie dane Ci było dziewczyno z Nazaretu
Żyć w cieniu kwitnących figowców
Może pragnęłaś życia obok kochanego człowieka
Może śnił Ci się fresk pełen płaczliwych psalmów i arcykapłanów
Ale oto przyszedł anioł
I odtąd byłaś już odpowiedzialna za swe życie przed Bogiem
Który powierzył Ci Tajemnicę
Głębia Twego istnienia wypełniła się Bogiem jak dzban
Nie było w Tobie miejsca na próżnię
I nie było w Tobie miejsca na zło
Sama stałaś się blaskiem
I koroną
Największym cudem
Swego Syna*

II

*pójdziemy
ty tu
ja tam
krokiem może nie zawsze równym
ale pewnym
pójdziemy mimo mgły i mimo deszczy
po drodze czasem aksamitnie miękkiej
jak asfalt w południe*

*patetycznie twardej
jak szlaki górskie
lub przyziemnie brudnej
jak niektóre
słowa
pójdziemy wiedząc o sobie
choć nie trzymając się za ręce
i dlatego
dojdziemy
do naszego
CELU*

Panegiryk

*Jakże łatwo opisać chwile nadzwyczajne,
wszystko wtedy najlepsze, najpiękniejsze, fajne
wszyscy są poruszeni, odświeżeni ubrani,
chcą skorzystać z okazji i być nadzwyczajni.*

*Sensu zaś dnia szarego
nikt dziś szukać nie lubi,
twierdząc, iż życie samo
po drodze sens gdzieś gubi.*

*Łatwo jest śnić o skrzydłach,
o wżlotnych poziomach,
a już wprost zakochani
bywamy w aniołach.*

Mozolnie się grzebiemy

*od świtu do nocy
aby tylko dochować
splendoru i mocy.*

*Na nic zwykle gadanie.
Nas szarzyzna nudzi.
My wolimy nadzwyczaj
ważne chwile i ludzi.*

*Prawdę znaną każdemu
sławię wierszem pochwalnym,
iż najtrudniej być dzisiaj
człowiekiem zwyczajnym!*

Joasiu...

czy wiesz Joasiu,
że Twoje wiersze fruwać
gdy je czytasz
motyl siada na moim ramieniu
unoszę się na skrzydełkach słów
wyżej i wyżej
nie mam ochoty spadać
wierzę w przyjazny wiatr

*Alicja Tanew
Z podziwu
dnia 16 lutego 2006 r. w Ogrodzie Botanicznym*

Joasi

Zobaczyłam Cię sercem
serce się nie myli
z oczami to bywa różnie
wydaje nam się, że mamy wiatr we włosach
wiatr w żaglach
a potem ten wiatr
rozbija się o próżnię
spotkałam Cię jesienią
nie Twoją jesienią
Ty nie nadajesz się do przemijania ani trochę
Uśmiechem kwitniesz
W każdej porze roku
A przemijanie jest smutne i płoche

i jeszcze
 podpatrzyłam w Tobie
 gibkość sitowia
 i poryw strumienia
i stało się tak
że odkąd Cię znam
 wierzę w ocalenie
cokolwiek by to miało znaczyć

Alicja Tanew
siódmego marca 2008 roku w Krakowie dzień był słoneczny

W Ogrodzie Botanicznym

Zapala świece myśli
jestem jasna
wiersze podsycają płomień
który nie gaśnie
bo w ogrodzie botanicznym
na chmurach
na gałęziach
i w piwnicy
siedzą poeci z zapalkami w głowach
wystarczy
poprosić o ogień

Alicja Tanew
na rozpoczęcie sezonu poetyckiego Teatru „Stygmaty”, październik 2006